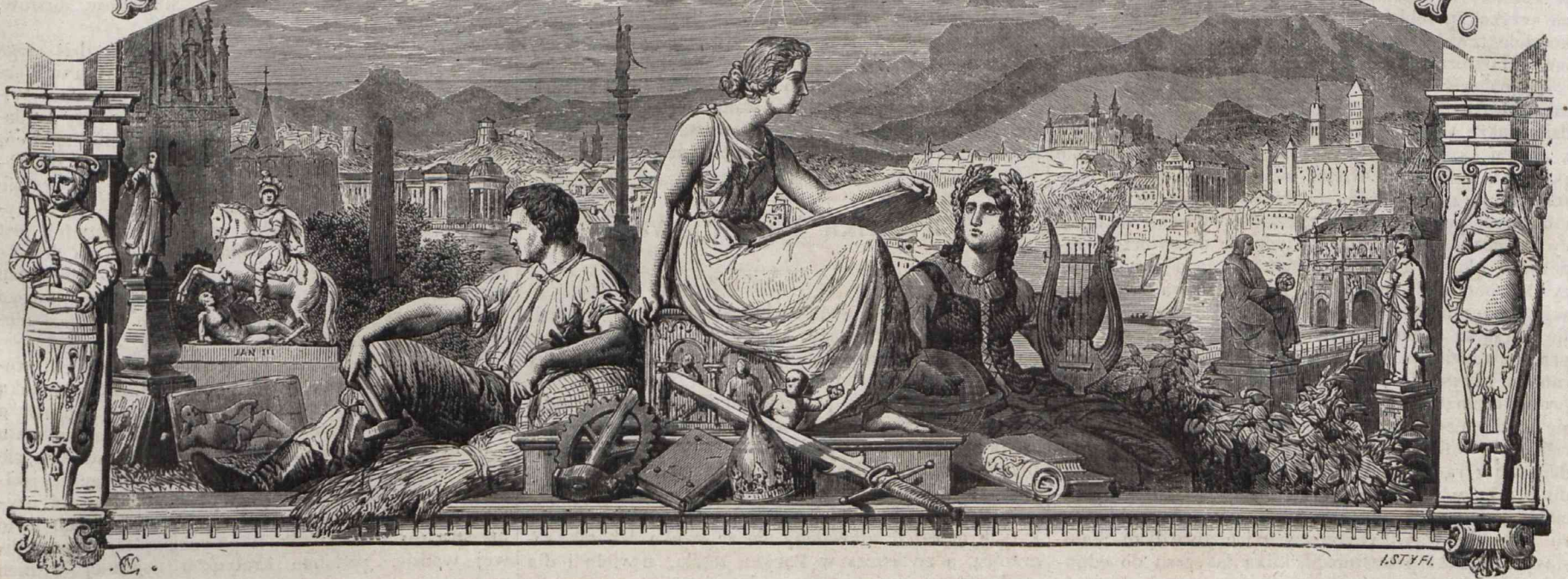


TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 194.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 13 czerwca 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Kościół ks. Bernardynów w Poznaniu (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Korrespondencye od redakcyi. — Przegląd polityki zagranicznej. — Kościół w Biskupicach (z drzeworytem). — Lichwa. — Dawne ubiory i uzbrojenia z trzema drzeworytami (dalszy ciąg). — Niektóre pamiątki po Janie III w Bawaryi (z drzeworytem). — Jarema (dalszy ciąg). — Urwana powiastka. — Stanisław Koniecpolski (dokonczenie). — Szachy. — Rebus.

bóstwo, na które się dobrowolnie poświęcili, nie dozwala im posiadać gmachów okazalszych, mianowicie zaś z cegieł lub kamienia budowanych. Wkrótce jednak liczba zakonników tak się pomnożyła, iż klasztor ten stał się dla nich za szczupły. Przeto dla rozszerzenia jego Stanisław, Tomasz i Ambroży, synowie wyżej wspomnianego Macieja Czarnego, darowali zakonowi w r. 1465 plac swój około klasztoru leżący, na którym zapewne nową część gmachu przybudowano. Lecz w tymże jeszcze roku, piszą w o-

mi widziadły i obrazami fantastycznymi przerywał sen i spokój zakonników, a co gorsza, w habicie zakonnym wychodził nad odnogę rzeki Warty, gdzie niewiasty bieliznę pierały, bezwstydnie do nich przemawiając. Oburzone czelnością mniemanego zakonnika, udały się one do ówczesnego gwardyana, zwanego Andrzej Verus, ze skargą na przestępce. Gwardyan, wysłuchawszy cierpliwie ich zażaleń, zwołał wszystkich zakonników, lecz między nimi nie znalazł się winowajca. Poznał tedy gwardyan odrazu, że to

była sprawka biesa, który usiłował zakon osławić. Kazał więc niewiastom uskarżającym się, jeśli zobaczą raz jeszcze wspomnianego zakonnika, aby ujęły go i do klasztoru przyprowadziły. Jakóż po kilku dniach ukazał się znowu kobiętom piorącym zwodziciel w habicie bernardynskim. Gdy go więc według rozkazu gwardyana pojąć chciały, zamienił się nagle w koźła, wydał z siebie woń nieznośną, wskoczył w rzekę, znikł i nie pokazał się już więcej.

Tymczasem kościół bernardynski, częstemi wylewami rzeki Warty zruinowany, Andrzej z Bnina biskup poznański z cegieł własnym nakładem wystawił i dla słabości w lektyce przyniesiony, sam go poświęcił d. 25 kwietnia 1473 r. Powodzie te i zalewy dość często się powtarzały. Tak n. p.

Kościół księży bernardynów w Poznaniu.

W kronice tego klasztoru, która się do dni naszych przechowała, czytamy: iż w r. 1455 przybył do Poznania Gabriel z Werony, towarzysz Jana Kapistrana, wikary generalny zakonu bernardynów w Czechach, Austrii, Śląsku i Polsce, z kilku zakonnikami tej reguły. Przyjęty dobrze przez Poznańczyków, pozyskał od magistratu przyrzeczenie, iż dla zgromadzenia jego niezwłocznie klasztor wystawiony będzie. Nowa ta fundacya, potwierdzona tegoż jeszcze roku na kapitule w Ołomuńcu, przywiedzioną została do skutku w roku następnym. Przyczynił się do niej najwięcej Maciej Czarny rajca poznański, magistrat zaś,



KOŚCIÓŁ księży bernardynów w POZNANIU. (Rysował z fotografii Kozarski).

W roku następnym wystawił im magistrat kościół i klasztor z drzewa, gdy zakonnicy oświadczyli że u-

wój kronice klasztornej, diabeł, nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego, krzywem na to patrząc okiem, iż miejsce w którym niegdyś wiele dusz łowili, które było stękiem występków, stawało się teraz siedliskiem bogobojności, — usiłował wszelkimi sposobami wyrugować z niego zakonników, przypuszczając na nowicyuszów rozmaite pokusy, które ich do marności świata i cielesności od ślubów zakonnych odwoziły. Nocnymi straszliwie-

r. 1515 dostała się znowu woda do kościoła, i dlatego umierający podówczas na morowe powietrze zakonnicy, musieli być chowani w kościele św. Marcina. W r. 1605 gwardyan Gabriel Czerniejowski naprawił kościół i klasztor, nadwreżone w wielu miejscach przez czas, powodzie i zaniedbanie, dodał w kościele trzy nowe ołtarze, a zakrystyą zaopatrzył w aparaty. W cztery lata zaś później, to jest w r. 1609,

rozprzestrzeniony został kościół piękną, nową kaplicą, którą bractwo paska św. Franciszka własnym nakładem wystawiło. Około tego czasu (r. 1610), mówi znów owa kronika, pochowano w kościele tym zwłoki szlachcica, który umarł będąc w ex-komunice. Otóż ten szlachcic kilka razy o północy, gdy zakonnicy pacierze odmawiali, na koniu, z włócznią w rękę, w kościele od wielkiego ołtarza aż do drzwi wielkich na wysokok przebiegał. Jeżdżenie to potępienia po kościele trwało tak długo, dopóki ciała jego z grobów klasztornych nie wyrzucono.

Wojna szwedzka za Jana Kazimierza r. 1655, która taką klęskę dla miasta Poznania przyniosła, nie oszczędziła także tego zakonu. Szwedzi najprzód wypędzili z miasta ks. bernardynów, następnie zaś rozmyślnie podłożyli ogień pod wielki ołtarz, który zniszczył kościół wraz z klasztorem. Legły w gruzach te gmachy i dopiero po wypędzeniu Szwedów wrócili zakonnicy do Poznania r. 1658 i zajęli się niezwłocznie reparaacją klasztoru swego. Dokonali tego przy pomocy dobroczyńców, osobliwie zaś Wacława Leszczyńskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego; poczem zaczęli się krzątać około podwignienia świątyni swojej i przyprowadzili ją do dawnego stanu r. 1668, za staraniem Krzysztofa Poznańczyka gwardyana, a później prowincyała tegoż zakonu. Niedługo jednakże cieszyli się temi gmachami i owocem swych zabiegów i starani, gdyż dnia 23 maja 1673 roku, około godziny jedenastej z rana, zajął się pożar w klasztorze z powodu belek w komin wmurowanych, który w przeciągu kilku godzin zniszczył pierwsze piętro klasztoru i kościół cały. Ówczesny więc gwardyan Stanisław Grodzicki potrzebował kilka lat czasu do odbudowania klasztoru, a całkowite wykończenie kościoła musiało zapewne dopiero później nastąpić. I później niejedne jeszcze smutne koleje kościół ten i klasztor przetrwać musiały. Najprzód w czasie wojny za Karola XII pułkownik szwedzki Lilienhock, komendant miasta, chciał te gmachy z ziemią zrównać, jako na ostatecznym krańcu miasta leżące i przez to warunkom miejskim zawadzające. Mówi wprawdzie kronika klasztorna, że go od tego przedsięwzięcia odwieśli święci Franciszek, Bernard i Jan Kapistran, którzy mu się w nocy ukazali i nieuchronną śmiercią zagrozili, gdyby klasztor ten ich reguły zburzyć odważył się. Nie całkiem jednakże musiał Szwed ulegnąć się tej pogroźki, gdyż spalił browar i stajnie klasztorne, drzewa zaś w sadzie wyciąć, a ziemię z tegoż sadu do sypania wału na ulicy Garbarach brać kazał; wreszcie belki przeznaczone na nowe wiązanie kościelne, na palisady użył. Prócz tego wyrządził jeszcze zakonnikom inne ciężkie przykrości: umarłych Szwedów w ich ogrodzie chować kazał, utrudniał im dowóz wszelkiej żywności i w ogóle obchodził się z nimi po barbarzyńsku.

W tak smutnych dla zakonu czasach musiał niszczyć ich klasztor i kościół, będący jeszcze w budowie. Zapobiegł dalszemu upadkowi tych gmachów w r. 1712 Jan Kapistran Szysiecki, kustosz i gwardyan poznański, wyreparowawszy je naprędce, o ile zasoby klasztorne i okoliczności czasowe pozwalały. Ale znów w miesiącu lipcu 1716 roku opanował ten klasztor Gniazdowski, sławny regimentarz konfederacyi tarnogrodzkiej, przeciw Sasom wojujący. Zamienił on klasztor ten niejako w twierdzę, z której usiłował Sasów, w zamku i w murach miasta będących, do poddania się przymusić. Sasi więc strzelali z dział do klasztoru i usiłowali go podpalić, a lubo jeden taki podpalacz złapany, zawiązany w worze, w wodach rzeki Warty utopiony został i nie udało się Sasowi podłożyć ogień pod klasztor, to przecież same już kule działowe wielką szkodę w murach klasztornych zrzędziły. Nakoniec nadzwyczajna burza, która d. 18 czerwca 1725 r. Poznań nawidziła, zadała zakonowi temu nowe ciosy i sprawiła niezmiernie szkody. Wszystkie szczyby w kościele i klasztorze zostały potłuczone, dachy po większej części pozrywane, kominy poobalane i nowo sadzone w ogrodzie drzewa z korzeniem powyrwane. Starania zakonu zaradzały ciągle tym szkodom i sprawiły iż budujący się kościół postępował, chociaż zwolna, ku całkowitemu swemu ukończeniu. W r. 1733 wzniesli zakonnicy dwie wieże kościelne, za pomocą architekta Steinerta z Leszna, które rycina przedstawia, gdyż od pożaru w r. 1673 aż dotąd nie miał kościół ten żadnej wieży. Nakoniec w r. 1750, zapewne po całkowitem wykończeniu świątyni, poświęcił ją Józef Pawłowski archidyacon pszczyński, biskup in partibus.

Kościół ks. bernardynów, jak widzieliśmy, zbyt częstym i dotkliwym podlegał zmianom i odnowieniom, aby mógł posiadać pomniki z odleglejszych czasów. Miała się tu tylko znajdować chorągiew św. Jana Kapistrana, a w kościele nagrobek Franciszka Ksawerego Kęszyckiego wojewody gnieźnieńskiego,

pochowanego tu d. 15 stycznia 1789 r. Zato na ścianach kościoła wisi mnóstwo wizerunków osób na blasze malowanych, których zwłoki złożone zostały w jego sklepach. Obok tych wizerunków, jak zwykle, umieszczono tablice z napisami i herbami. Godne są też uwagi w tej świątyni organy, wystawione w r. 1747, które kosztowały 40,000 złp.

Po zniesieniu klasztorów w Poznańskim, pozostał ten kościół i klasztor przez czas długi opuszczonym, od lat zaś kilkunastu oddany został na użytek gimnazjum katolickiego św. Maryi Magdaleny. W pomieszkaniach klasztornych umieszczono alumnat uczniów, sposobiących się do stanu duchownego, obok zaś poklasztornych gmachów, wystawiono dla tegoż gimnazjum gmach nowy i dosyć okazały.

Kronika tygodniowa.

Jeżeli jeszcze na świecie ludzie chorować i umierać będą, to chyba tacy, którzy tego sami pragną; bo nigdy nie wymyślono tyle lekarstw i specyfików różnych, ile w obecnym czasie.

Proszę tylko, choć przez jeden dzień, przejrzeć ogłoszenia w gazetach: ciągle wychodzą tam na jaw wielkimi literami nowe jakieś leki, najczęściej w stanie pigułkowym, i polecają się jako najskuteczniejsze na wszelkie słabości.

A tak ich jest wiele, że trudno nazwy ich policzyć. Z tych ogłoszeń zdawałoby się że sztuka lekarska zagranicą, a zwłaszcza w Paryżu, zesła, u wielu i dla wielu, do stanu prostego szarlatanizmu.

Jakiemuś doktorowi udało się utworzyć jakąś kompozycję przynoszącą ulgę żołądkowi. Prosty olejek ricynowy podziałaby daleko lepiej i skuteczniej; ale olejek ricynowy znany jest wszystkim, znajduje się w każdej aptece i bardzo tanio kosztuje. A tu trzeba właśnie pigulek obsypanych złocistym proszkiem, albo farbowanych na żółto, z wydrukowanym na nich czarnymi literami nazwiskiem wynalazcy, które ma zapewne taką samą własność, jak owe kartki z tajemniczymi na nich literami, które lud nasz na febrę polityka; potrzeba zgrabnie ulepionych pudełek paryskich, z chromolitografowanymi na nich etykietami; potrzeba żeby lekarstwo było przyjemne dla wroku i dla smaku, bo te przymioty najgłośniej anonsie owe opiewają. A przedewszystkiem potrzeba żeby owo pudełeczko jakieś mieszaniiny, której za główną podstawę służy senes albo aloes, co w języku ogłoszeń znaczy „nowe rośliny, świeżo odkryte w Ameryce, Afryce albo Australii“, a znane tylko doktorowi który pigułki zapisuje, albo aptekarzowi który je wyrabia, kosztowało nie pół zlotka, ale kilka, kilkanaście złotych. To właśnie jest pierwszą podstawą powodzenia lekarstwa.

Robimy głównie tę uwagę dlatego, że od pewnego czasu rozszerzyła się u nas monomania leczenia siebie i drugih według jakiegoś widzimisię, i coraz większe czyni postępy.

Zkąd to pochodzi?

Człowiek, w zwykłym stanie zdrowia, ulega pewnym przypadłościom, biorącym najczęściej źródło w sposobie życia jakie prowadzi. Więc objawiają się one w różnych cierpieniach mniej lub więcej dolegliwych, które zwykle z nienormalnego stanu żołądka biorą swój początek. Taki stan łatwo usunąć można, choćby tylko dyetą, albo użyciem pierwszego lepszego środka czyszczącego. Ale tu właśnie znajduje się obszerne dla siebie pole szarlatanizmu. Użył kto jakich poleconych sobie pigulek, albo innego środka z tajemnym przepisem i środek ten pomógł mu, bo słabość jego i tak bez żadnych lekarstw w parę dni ustąpić miała,—to taki uzdrowiony staje się już Seidem niezłomnej wiary dla aptekarskiego Mahometa, który cudowne środki lekarskie wyrabia. Gotów skończyć w ogień, żeby podtrzymać sławę pigułkową. I gdyby broń Boże jakim nieszczęśliwym przypadkiem stracił rękę albo nogę, ufałby niezłomnie swoim pigułkom, że mu po pewnym przeciągu czasu ich użycia nowa ręka albo noga odrośnie. I dzieje się tak, dopóki naprawdę na jaką rzetelną nie zachoruje słabość, bo wówczas, przekonawszy się o bezużyteczności swojego specyfiku, przywołuje doktora, dwóch, trzech, i z niedowiarka lekarskiego staje się fanatykiem, jak ów filozof Krasickiego, który gdy go słabość powaliła, nie tylko w Pana Boga, ale i w upiory wierzył nawet.

A cóż dopiero powiedzieć o homeopatii, hydropatii i różnych innych *patyach*? Liczą one na tysiące zwolenników, którzy wyleczyli się przez nie z imaginacyjnych po większej części słabości.

Opisywaliśmy w swoim czasie zapał z jakim pa-

cyenci hydropatyczni praktykują swoją nieznośną kuracją. Doprawdy, leki stokrót gorsze tu od choroby; jest to tortura średniowieczna, codzien samowolnie powtarzana, bo to nie żarty kilka kwart wody w przeciągu godziny albo dwóch najwyżej każdodziennie wlewać w siebie. A nie liczymy już tutaj wszelkich innych rozkoszy oczekujących pacjenta, owych abreibungów, luftbadów, sitzbadów, duszów, pasów zimnych i t. d. i t. d.

Owóz amatorowie hydropatii ponoszą dziś srogą klęskę. Niewiadomo z jakich powodów, woda w Warszawie staje się coraz gorszą. Nawet na ulicy Wiodok, gdzie ongi dla lubowników zimnej wody istniało prawdziwe kastalskie źródło, popsuło się ono. A cóż dopiero mówić o studniach w środku miasta położonych? W pałacu Skwarcowa niepodobna ona prawie do użycia, a w Saskim ogrodzie, pomimo kilku tysięcy złp. włożonych świeżo w naprawę studni, jest tak mętną, że doprawdy podobniejsza ona do dekontu jakiegoś, do jednego z owych lekarstw zalecanych przez dzienniki, aniżeli do czystego przedpotopowego napoju, któremu Noe dopiero w winie wynalazł niebezpiecznego współzawodnika.

Więc powtarzam, zagrożeni jesteście brakiem wody. Zanim wodociągi istniały, posiadaliśmy jaką taką wodę studzienną; obecnie studzienna się popsuła, a nie zastąpi jej wodociągowa, której jest bardzo mało i wcale nie odznacza się czystością. I to właśnie się dzieje w czasach, gdy pomiędzy uczonymi europejskimi toczą się szerokie rozprawy o szkodliwości używania wody niezupełnie czystej. Nie pamiętam ile to już strasznych przypadłości przypisują tej nieszczęśliwej wodzie; podobno kretynizm najmniej z nich ważny.

Ale i to korzyść: głupcy mogą teraz u nas niedostatki swoje umysłowe na użycie złej wody zwałać. Oddawna nie wspominaliśmy już o książkach nowowychodzących. Bogiem a prawdą nie było o czem wspominać, bo tych książek coraz mniej, wydawnictwo przychodzi i przycupnęło w kącie. A jednakże dawniej rozpoczęte dzieła wychodzą regularnie, jak n. p. *Historia literatury powszechnej* przez F. H. Lewestama, nakładem Lewińskiego. Z każdym nowym zeszytem dzieło to rozwija się i rośnie w wartość. Pan Lewestam postępuje w tym względzie nie według zwykłej normy autorskiej, która w przedsiębiorstwach podobnego rodzaju zwykle świętym bardzo początkiem się zaleca, chociażby dalszy ciąg nie odpowiadał temu zaczęciu. Zeszyt VI zawiera dzieła liryków, satyryków, dziejopisarzy i mówców rzymskich, bardzo starannie opracowane. Sądźmy jednak iż dzieło to przybierze większe rozmiary, aniżeli się zdawało z początku, i lepiej mu z tym będzie, bo tego rodzaju prace, im bardziej skrócone, tym więcej tracą, zwłaszcza gdy każda gałąź ma być nie już opracowaną wyczerpująco, (boć to jest niepodobniństwem na sily jednego człowieka i zakres jednej publikacyi), ale przynajmniej sumiennie naszkicowaną. W dziejach ludzkości są chwile, w których piśmienniczy zabytki głośniej mówią od najsilniejszych nawet przekształceń społecznych. Są znowu inne, w których się zupełnie przeciwnie dzieje, i to bez względu na stopień umysłowego wykształcenia na jakim się naród znajduje. Otóż takie właśnie punkta zwrotowe oznaczyć, obowiązkiem jest autora; jednak pamiętać winien o tem, żeby praca jego nie wyglądała jak owo wojsko Lukullusowe, zawielkie na poselstwo, a zamałe na armia.

Pomimo wszakże tej zdrętwiałości wydawniczej, księgarńa Gebetnera i Wolfa krząta się po dawnemu około wielu użytecznych publikacyj. Panowie Gebetner i Wolf pilną, szczególnie w ostatnich czasach, zwrócili bacność na wydawnictwo dzieł młodemu wiekowi poświęconych. I słusznie czynią, zawsze nam bowiem brakło, nie mówię na dziełach tego rodzaju, bo z każdym nowym rokiem wychodziło ich sporo przedrukowanych, odrukowanych i nowotytułowanych, ale na dobrym ich wyborze. Byłe miano jakie takie powiastki i jakie takie przy nich rycinki, nie zważano na resztę. A rycinki i powiastki często warte były jedne drugih. Ani tam zajęcia nie znalazło dziecko, ani pożytku. Po przejrzaniu obrazków, rzuciło książkę w ką i chyba gwałtem nakazywano mu czytanie. A tu trzeba żeby dziecko samo właśnie zagustowało w czytaniu, żeby to przygotowanie do nauki stało się dla niego przyjemnością. Temu zadaniu księgarńa Gebetnera i Wolfa przedsięwzięła uczynić zadość i chwali jej się to.

Więc oprócz znanych już obrazków z historii polskiej i historii świętej, które z powodu swjej taniości w niepraktykowanej dotąd u nas liczbie egzemplarzy rozeszły się, księgarńa ta wydała świeżo: „Wieczory z babunią, powieści i opowiadania poświęcone dorastającej młodzieży polskiej.“

Opowiadania te, brane z dziejów i życia, jedno z drugim przeplatane umiejętnie, skręślane są dostępne i zajmująco. Dobra to bardzo i użyteczna książka, a co nie wadzi, wydanie bardzo staranne; miejsce zwykłych, nędznie wyrobionych i nędziej jeszcze kolorowanych obrazków, zastępują wcale udatne chromolitografie, wyrobione i odbite w zakładzie Fajansa, a choć to błahy napózór szczegół, w gruncie jednak ma on swoją wagę. Bo dla czegożby dziecko nie miało się od razu przyzwyczajać do oglądania rycinek posiadających pewną artystyczną wartość? Tym sposobem gust wykształca się u niego i poczucie artystyczne samo przyjdzie mu z wiekiem. Wprawdzie zakupienie takich chromolitografii na miejscu robionych, wyższy daleko za sobą koszt pociąga, aniżeli sprowadzanie z zagranicy chromolitograficznych rycinek, i koszt ten wielu odstrasza. Do publiczności więc należy ocenić należyte poczucie usiłowania i wynagrodzić je powodzeniem ze wszech miar zasłużonem, jakie książka ta zyskać powinna.

Tak zwana książka dla dzieci początkujących, ułożona przez Leopolda Szyllera, a wydana nakładem téjże księgarni, z korzyścią posłużyć może matkom do rozpoczęcia pracy około elementarnego wykształcenia dzieci. Mnóstwo tam różnorodnych wiadomości, krótko i dostępne wyłożonych. Dziecko, przeczytawszy tę książkę, odbyło już w pewnym węglądzie klasę przygotowawczą, a przeczyta ją z zajęciem.

Jako dziełko więcej już do rozrywki przeznaczone, zasługują na uwagę wydane nakładem téjże firmy powiastki Szmidta, spolszczone przez Chęcińskiego. Imię autora, znanego z umiejętnie i przystępnie kręślonych opowiadań, poręcza już za wartość książki, a tłumacz zgrabnie umiał odtworzyć w naszej mowie wdzięk i prostotę oryginału.

Każdą powiastkę kończy wierszyk, a chciałoby się wszystkie powtórzyć, tyle one w niewielu wyrazach mieszczą użytecznych prawd w piękną owiniętych formę. Przytoczymy z nich parę:

...Jak kwiatu tak człowieka postać okazała,
Cóż znaczy, gdy złe serce powierzchowność zgłuszy?
Nie przywiązujemy ceny do piękności ciała,
Bo prawdziwą wartością są przymioty duszy.

albo:

Niechaj nikt czasu na głupstwa nie traci,
Bo to kapitał pożyczony z nieba;
Na własne dobro, na korzyść współbraci
Każdą chwileczkę obracać potrzeba;
Biada! kto kończąc drogę życia całą,
Chwil pożyczonych odda Stwórcy mało.

Już sam dobór takich wierszyków świadczy o niepomierniej wartości książki.

Za przedmowę służy także wierszyk, którego sens moralny w tej oto strofie:

...Więc z książeczką siądźmy wszędzie,
Spamiętajmy zbawcze słówka,
Po czytaniu codzien będzie
Lepsze serce, mędrsza główka.

Wspominamy tu nawiasem, że p. Chęciński przyjął na siebie współredakcją Przyjaciela Dzieci. Wyszukujemy szczerze Przyjacielowi Dzieci tego nabytku, kilkakrotnie bowiem pan Chęciński przekonał nas już, że bardzo użytecznie pracować może na tym polu. Dzieci mają nieskrzywione poczucie, które im piękną formę mówić każę, a pan Chęciński tą właśnie formą celuje, nie wykluczając czysto moralnych dążeń, któremi zawsze jako pisarz odznaczał się i odznacza. A to dwa najużyteczniejsze w tej gałęzi piśmiennictwa przymioty.

Kończąc rzecz o wydawnictwie księgarni Gebetnera i Wolfa, które wyjątkowym na te czasy odznacza się ruchem, donosimy, że zupełne wydanie dzieł Szopena, o którym w swoim czasie zawiadomiliśmy czytelników, już się drukuje. Oprócz tego księgarnia ta wyda wkrótce w przekładzie dwa dzieła również dla użytku młodzieży przeznaczone, które zagranicą wielkiego dobiły się rozgłosu i zasłużonem cieszą się powodzeniem. Jest to Historia kęsa chleba Macégo i Arytmetyka dziadunia tegoż autora. Dzieła te odznaczają się ujęciem w przystępną i ponętą formę suchych prawd naukowych. Na prace tego rodzaju nie mało potrzeba talentu i wykształcenia. Taka historia naprzykład kęsa chleba jest dokładnym opisem całego wewnętrznego ustroju człowieka, a opis w tak ponętą owinięty jest szatę, że cała książka czyta się z niezmiernem zajęciem, jakby powieść jaka. Kto pierwsze przerzucił kartki, ten koniecznie musi już dobieść do końca, a po przeczytaniu całego dzieła,

sam dziwuje się, że tak łatwym sposobem tyle użytecznych zyskał wiadomości. W tym właśnie leży prawdziwa zasługa talentu.

Kończę listem który w tych dniach otrzymałem.

Panie kronikarzu.

Wybaczysz że cię zajmę poezją. Nie odznacza się ona może wielką wytwornością formy, ale praktyczną jest bardzo. Oto przedmiot quaestionis. Przejeżdżałem w tych czasach przez pewne wielkie dobra. Znajdują się one w okolicy, w której obywatele odznaczają się niezwykłą starannością w zakładaniu szkółek, ochronek itd.

Kiedy dojeżdżałem do wsi, już z daleka widniał pałac. Pomyślałem sobie: „śnadź zamożność panuje tu; kiedy starczyło na pałac, starczy niewątpliwie i na wiele użytecznych rzeczy.“ Ale niestety! zbliżywszy się spostrzegłem, że wieś ta podobna do owego miasta, tak dowcipnie przez Krasickiego opisanego. Bo naprzeciwko zbytkownego mieszkania właściciela, kościół ubogi i obdarty, który prawdziwie chudą farą nazwałby można, i plebania harmonizująca zupełnie z kościołem. Ale zato rozradowywa się wzrok, kiedy padnie na muirowaną karczmę, w niewielkiej odległości od kościoła wystawioną. Bliższą ona, nęcąca, świeża, wystrojona! Aż miło spojrzeć, aż dusza drze się do wnętrza, zwłaszcza gdy się przeczyta wiersz umieszczony pod szyldem:

Na frasunek dobry trunek, robak się zaleje,
Po wódeczce jakoś człeku serce się zaśmieje.

Oto poezja którą ci przyrzekłem. Wyznasz że na dzisiejsze ciężkie czasy, obejmuje ona bardzo zdrową radę, zaszczytną dla tego który te wiersze napisał i zbawienną dla tych którzy je czytają.

KORRESPONDENCYE OD REDAKCYI.

Panu J. S. w Krakowie. Nadesłany „Obrazek dramatyczny“ drukowanym być nie może. Rękopis pozostaje do dyspozycji.

Panu S. Z. z Podola. Za wiersz p. n. „Stary zegar“ uprzejmie dziękujemy; zostawiamy go do czasu późniejszego. „Cyganke“ odebraliśmy już poprzednio i wydrukujemy ją ze stosowną ilustracją, skoro tylko drzeworyt będzie wykończony.

Panu E. K. w Poznaniu. Korrespondencya odebrana. Artykuł o ziemstwie raz jeszcze usilnie przypominamy.

Pani A. R. w Tulczynie. W liczbie kilkunastu innych numerat, i zł. 6 gr. 20 od pani doręczone zostały wydawcy Gwiazdki. Wywiązałyśmy się z pośrednictwa i mamy na to pokwitowanie. Reszta należy do księgarni A. Dzwonkowskiego.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

12 czerwca.

D. 4 czerwca, ogłoszono w Paryżu urzędowe sprawozdanie o wyborach, w obec licznie zgromadzonych wyborców, zwłaszcza z klasz rzemieślniczych. Ogólna większość wyborów wypadła na korzyść rządu, ale Paryż wysłał do przyszłej izby samych opozycyjnych kandydatów. Prowincya wybrała także kilku członków opozycji, tak że ogólna ich liczba, wraz z Paryżem, od 25 do 30 wynosi. Cesarz Napoleon przyjął z wielkim spokojem wiadomość o rezultacie wyborów, ale opinia publiczna rozpuściła wodze swęj wyobraźni, zapowiadając mnóstwo zmian w administracji, z których dotąd ani jedna się nie sprawdziła. Z tym wszystkiem pogłoski o zmianie ministerium nie ustają. Ministrem spraw wewnętrznych ma być p. Pietri, na miejsce p. de Persigny, który z tytułem książęcym objął ma ambasadę w Petersburgu; p. Rouher przeznaczący prezostwo rady stanu, a ministerstwo spraw zagranicznych hr. Walewskiemu. Podajemy te wieści, z powodu natarczywości z jaką obiegają po dziennikach, nie ręczymy wszakże za ich wiarogodność. Kwestya, a raczej rezultat, wyborów dał powód do namiętnych w dziennikarstwie sporów. Constitutionnel w przesadzonym zapale gniewu oskarża France o zdradę, za co France pożywa go przed kratki sądowe. W ogólności opozycja nie jest skierowaną przeciw samej zasadzie, na której spoczywa cesarstwo. Głównym jej celem ma być dążność do rozszerzenia swobód wewnętrznych. Epoka zebrania się nowego ciała prawodawczego dotąd jeszcze niewiadoma. France twierdzi, że nadzwyczajne posiedzenie dla sprawzenia mandatów odbędzie się dopiero w listopadzie, rzeczywiste zaś dyskusje nad adresem i budżetem, nastąpić mają w lutym 1864 r. Wiado-

mości z Puebli niebardzo są pomyślne. General Forey skarży się na brak amunicyi i żąda posilków. Utrzymują nawet, iż cesarz bardzo jest niezadowolony z powolności generała Forey i wysłać ma na jego miejsce marszałka Niel. Tymczasem Meksykanie zacięty stawiają opór, tak że każdy dom osobno zdobywać trzeba. Z tym wszystkiem nie należy zbyt dowierzać depeszm londyńskim, głoszącym o ciągłych porażkach Francuzów. Monitor zapewnia, że do d. 27 kwietnia oblężenie energicznie było popierane i że kilka ważniejszych pozycji Puebli dostało się w ręce francuzkie. Dla zapewnienia dostaw żywności i amunicyi, minister marynarki nakazał, aby niezależnie od miesięcznych transportów z Saint-Nazaire, urządzoną była miesięczna posługa z portów Cherbourga i Tulu. Sądzą że po wzięciu Puebli, Francuzi wejdą w układy z Juarezem. Cesarz Napoleon wzaz z rodziną wyjechał do Fontainebleau.

W d. 5 b. m. reprezentanci Anglii, Rossyi, Danii i Francyi podpisali w Foreign-Office w Londynie protokół zapewniający przyjęcie korony greckiej przez księcia Wilhelma duńskiego. Depesza telegraficzna z Kopenhagi, z d. 7 b. m., donosi jednocześnie, że deputacya grecka przyjęta została przez króla duńskiego na uroczystym posłuchaniu. Fryderyk VII oświadczył, że książe Wilhelm przyjmuje tron grecki, wraz z połączonemi z Grecyą wyspami jońskimi. Na posiedzeniu izby gmin w d. 5 b. m., lord Palmerston oświadczył, że spełnienie obietnicy daniej przez Anglią, w przedmiocie przyłączenia wysp jońskich do Grecyi, nie napotyka żadnych trudności ze strony rządu angielskiego i że idzie tylko o przeprowadzenie właściwych formalności i sankcyą mocarstw podpisanych na traktacie wiedeńskim. Książe Wilhelm przyjmie imię Jerzego I. Dzienniki twierdzą że odjazd młodego króla nie zaraz nastąpi, że książe poślubić ma jedną z córek królowej Wiktoryi i na przyszły rok dopiero uda się do Aten. W skutek zerwania stosunków dyplomatycznych z Brazylją, poseł Moreira opuścił Londyn. Rada państwa austriackiego zebrać się ma w Wiedniu za dni kilka, pod prezydencją arcyksięcia Rajnera prezesa ministrów, który zagał posiedzenie w imieniu cesarza. Izba parów odroczone być ma zaraz po otwarciu posiedzeń, izba zaś gmin nie prędzej jak za miesiąc po utworzeniu sekcji, wyborze kommissyi i przedstawieniu różnych projektów rządowych. Obie izby zbiorą się w jesieni i wtedy rząd przedstawi budżet, nowy bowiem rok finansowy austriacki liczyć się będzie od d. 1 stycznia 1864 r., a nie od 1 lipca, jak to dotąd bywało. Spodziewają się że do tego czasu sejm siedmiogrodzki wybierze ze swego grona deputowanych i wysle ich do Wiednia.

Kwestya holztyńsko-szlezwińska oddana została pod rozbiór i rozwagę sejmu związkowego. Minister spraw zagranicznych królestwa duńskiego, p. Hall, wysłał notę do posłów duńskich w Wiedniu i Berlinie, w której utrzymuje, że dekrety królewskie z d. 30 marca r. b. nadają Holzstynowi stanowisko niezależne od ogółu monarchii duńskiej i mogą zadowolić życzenia Związku niemieckiego w zupełności. Rząd pruski odpowiedział, że sprawa ta, jako ogólnie niemiecka, odesłana została do bundestagu i że nie widzi potrzeby odpowiadać szczegółowo na oświadczenia Danii.

Z Ameryki donoszą, że general Grant, dowódzca federalistów, pobity został pod Vicksburgiem. Federaliści stracili 5,000 w zabitych i ranionych.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. France. Constitut.)

Ostatnie depesze. Berlin 10 czerwca. Na dzisiejszem posiedzeniu magistratu otrzymano i odczytano reskrypt rządowy, stanowczo zabraniający wykonania uchwały rady miejskiej zapadłej w dniu 4 b. m. Po odrzuceniu wniosku, aby zanieść skargę do naczelnego prezesa i wystosować adres do króla, uchwalono zakomunikować reskrypt rządowy reprezentantom miejskim.

Wiedeń 10 czerwca. Zeszłej nocy wybuchł pożar w teatrze Treumana, po ukończonem przedstawieniu. Cały gmach obrócony w perzynę.

Turyń 7 czerwca. Obchód uroczystości statutu odbył się w całym królestwie włoskiem w zupełnym porządku. Król odbył wielki przegląd wojska. Ludność witała monarchę z zapalem. Duchowienstwo, z własnego natchnienia, przyjęło w kilku miastach udział w tej uroczystości.

Bern 8 czerwca. Według nadesłanych tu wiadomości, poselstwo szwajcarskie przybyło do Nangasaki w d. 11 kwietnia. Rząd japoński zgadza się na zawarcie traktatu handlowego z Szwajcaryą.

KOŚCIÓŁ W BISKUPICACH.

O cztery mile od Lublina, ze strony wschodniej, przy trakcie do Chelma wiodącym, leży niewielkie miasteczko Biskupice, w pięknej wzgórzystej okolicy, nad rzeczką Gielczewą do rzeki Wieprza niedaleko zład płynącego wpadającą. Miasteczko to początek swój winno zaszczytnie znanemu i głośnemu w historii naszej kardynałowi Zbigniewowi Oleśnickiemu, który w r. 1450, zanim jeszcze został dostojnikiem duchownym, po potrzebie grundwaldskiej, kazał kościół modrzewiowy z Piotrowina na pole oleśnickie sprowadzić, a następnie powróciwszy z Rzymu już jako biskup krakowski, na polach rzeżonych założył miasto i od nowej swej godności Biskupicami je przezwiał. Jednocześnie Oleśnicki nadał temuż prawo magdeburgskie, ustanowił parafią i hojnie ją uposażył, oraz kościół pod wezwaniem św. Stanisława biskupa z drzewa wybudował. Kościół ten dotrwał do roku 1725, w którym ówczesna dziedziczka Biskupic, Aloiza z Piaseckich Radziwińska, umierając bezpotomnie, cały swój majątek ruchomy zapisała na wystawienie murowanego kościoła a wykonawcą ostatniej swej wo-

LICHWA

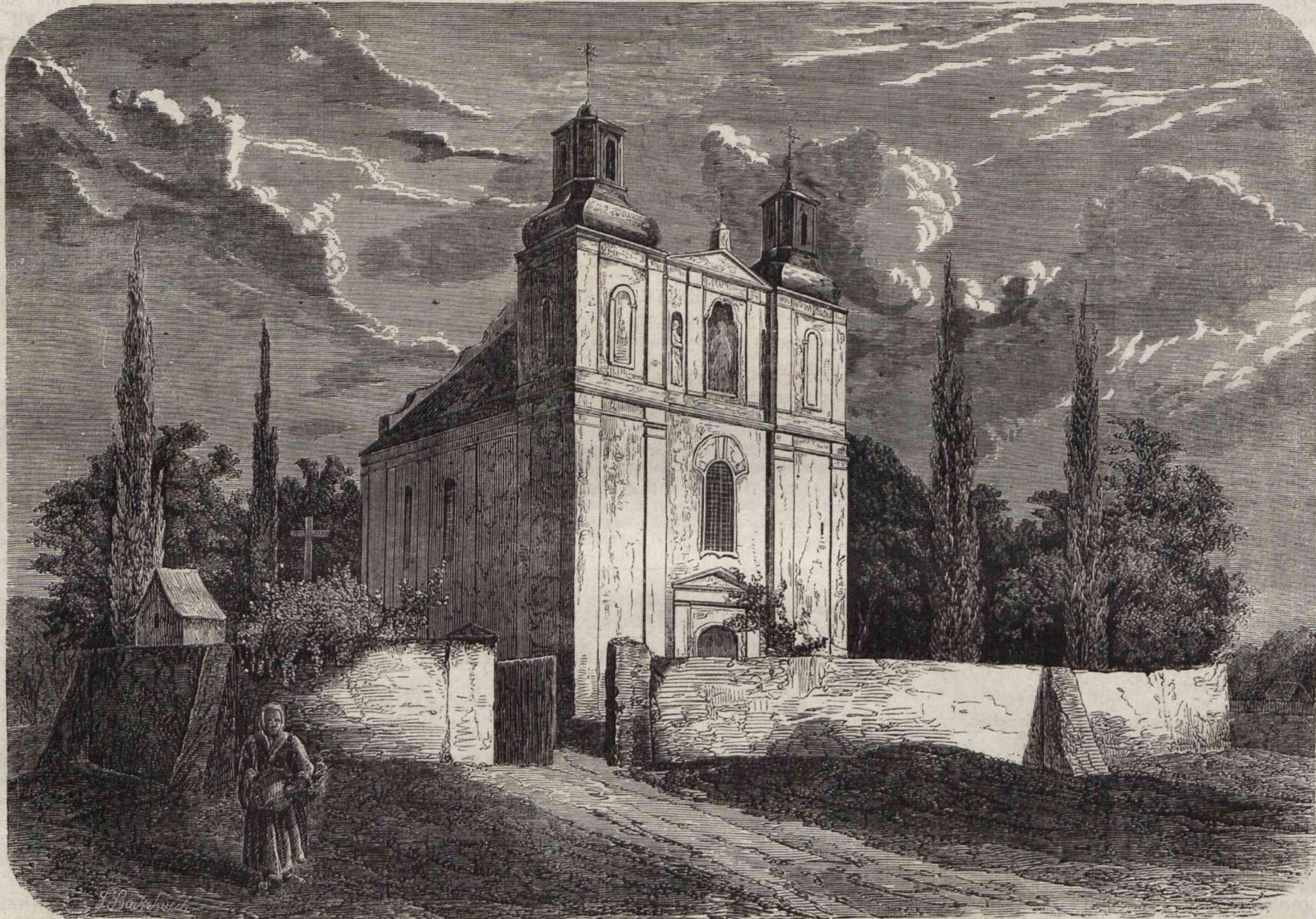
pod względem prawnym i moralnym.

Jedną z cięższych plag w kraju naszym, jak i wszędzie podobno, jest lichwiarstwo. Ani prawa, ani kommissye nadzwyczajne, ani kazania, ani satyry wytepić jej nie mogą; trapi ona ciągle społeczeństwo. Na wsi pachciarz obdiera chłopą, w miasteczku handlarz obywatela, w stolicy lichwiarz z professyi, Żyd czy chrześcianin, dręczą przekupnia, rzemieślnika lub urzędnika. Warszawa obfituje w te pijawki, których charakterystykę doskonale przed kilku laty skreślił Wacław Szymanowski; a chociaż od owęj pory zmieniły się niektóre wydatniejsze postacie, ogólne zato typy zostały te same. Przekupki biędne już nieraz dziesiątkę placą procentu na tydzień od rubla; utracysz brukowy, albo obdużony sekretarz czy rachmistrz, dostając pożyczkę za solidarnym poręczeniem dwóch przyjaciół na 5% miesięcznie, umiarkowanym nazywa to procentem. Przy ogólnej stagnacyi interesów i osłabieniu

wiem na drodze zbawienia. Stroje, uczy, paradne cugi, zaczynają z mody wychodzić; panie nasze dały się przekonać, że skromna sukienka przystoi im lepiej, jak owe świetne i kosztowne tkaniny, w które tak niedawno stroiły się jeszcze. Prawdziwy wdzięk niewieści nie potrzebuje kosztownych zagranicznych przyborów. Dziś z radością z naszym wieszczem powtarzamy:

Bo i cóż to tam za żywość
Młodych Polek i uroda!
Tam wstyd szczery, tam poczciwość
I po Bogu dusza młoda.

A jeżeli się gdzieniegdzie ukażą jeszcze jakie lafiryndy wyfalbankowane, przypstrzone kosztownymi fatalaszkami, to chyba takie, co odbiegły od wzorów starodawniej domowej cnoty, radeby we wszystkiem paryżkiego półświata naśladować zalotnice. Młodzież nasza spoważniała, dorożkami przechodniów nie roztrąca, na śniadanka rzadziej uczęszcza, szulerką się nie bawi; ogródki przez nią opuszczone zielskiem za-



KOŚCIÓŁ W BISKUPICACH. (Rysował z natury Fabijański).

i nazaczyła księdza Michała Olszewskiego miejscowego proboszcza. Kosztem więc Pani Radziwińskiej, a staraniem rzeczonoego kapłana, stanął terazniejszy kościół w Biskupicach, którego wizerunek podajemy.

Jest to świątynia w stylu włoskim, z facyatą dwiema wieżami ozdobioną, z których w jednej mieszczą się dzwony, w drugiej sygnaturka. Wewnątrz jest cały sklepiony i skromnie lecz z wzorową czystością utrzymany. Ołtarzy ma trzy rzeźbiarską robotą złoconych, a w wielkim mieści się starożytny obraz św. Stanisława biskupa, męczennika, pod którego wezwaniem nowy gmach został także poświęcony. Również niezłego pędzla są obrazy Pana Jezusa i Matki Boskiej w dwóch bocznych ołtarzach znajdujące się. Oprócz tych są jeszcze cztery na murze al fresco dość miernie malowane, a przedstawiające Matkę Boską Bolesną, św. Jana Nepomucena, św. Teklę i św. Michała Archanioła. Chór murowany, nad habieńcem wzniesiony, ma organ o 12 głosach. Cmentarz tuż przy kościele, okolony murem i wysadzany drzewami, niemało się przyczynia do ozdoby tej pięknej świątyni.

kredytu, lichwa, trapiąca niezamożne warstwy społeczeństwa, coraz silniejsze zapuszcza korzenie. Pierwsza jednak przyczyna w nas samych leży, i wiele czasu upłyne zanim, przez poprawę wad swoich i otaczających nas instytucyj, wybawić się od tegożłego zdołamy. Powtarzamy, złe leży w nas samych, wpadamy bowiem w szpony lichwiarzy przez lekkomyślność, próżność, żądze zbyt ków, życie nad stan, brak rzadności, oszczędności, zamiłowania do pracy i poczucia obowiązków. Prawo karne zakazujące lichwę, niedostatek instytucyj pożyczkowych i zakładów kredytowych, unieruchomienie kapitałów, mały rozwój przemysłu i handlu—złe to pogorszają.

Może wady dopiero co wytknięte są zabytkami niebaczonej hulaszczey przeszłości, może one są objawem owych chorób wieku, jakich patologiczną diagnozę skreślił Kraszewski. Nie chcemy badać początków, ani śledzić przyczyn; zadalekoby to nas zawiodło i wtrąciło na tór kazania lub satyry, o których tylko co powiedzieliśmy, że przeciw lichwie okazały się bez skutku. Wołać tylko będziemy o poprawę, a nawet odważymy się powiedzieć że wierzymy w nią; jesteśmy już bo-

rastają—a kapłanki Terpsychory w sztuce jedynie pociechy po niewdzięcznych Arturach i Alfredach szukają.

Lecz nietylko w górze owe symptomata przemiany na lepsze widzieć się dają, i w niższych warstwach czytelnie, szkółki, ochronki potężną są dobrego dzwignią. Szynki po miastach, karczmy po wsiach, mniejszą przynoszą intratę. Wstrzemięźliwość od trunków coraz więcej się szerzy; w niektórych okolicach postanowiono karczmy w dni niedzielne i świąteczne zamykać, a na Zielone świątki zapowiedziano nam wprowadzenie tego postanowienia i w okolicy Warszawy.

Zmierzamy zatem powolnemi krokami do postępu, obyśmy tylko na tej drodze wytrwali. Jakkolwiek przecie powoli otrząsamy się ze zbytku i nierządu, jakkolwiek pracą a oszczędnością usiłujemy zabezpieczyć się od cisnącego nas niedostatku, ciężko atoli zapobiedz mu w zupełności. Jeżeli marnotrawstwo ustaje, nędza i niedola walczyć jeszcze muszą z lichwą; jeżeli liczba utracyszów zmniejszyła się, ilość ojców rodziny bez zarobku na kawałek powszedniego chleba

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).

powiększa się, grosz krwawo zapracowany pochłaniają lichwiarskie procenta. Prawo karne, zakazujące lichwy, ma niby otaczać swą opieką tych nieszczęśliwych pracowników i hamować występne działania lichwiarzy; dotąd wszakże, niestety, celów tych nie osiągnęło, i skuteczność jego tém samém wątpliwą się stała; dotąd nigdzie prawodawca surowym zakazem i sędzia ścisłym wyrokiem lichwy nie wytepił.

Oddawna gorące o to wiodą się spory, czy prawa wzbraniające lichwy przyczyniają się do jej ukrócenia, czy też przeciwnie do jej rozszerzenia, oraz czy lichwa sama przez się jest przestępstwem ulegającym dochodzeniu na drodze karnej, czy też czynem cywilnym poza obrębem prawa karnego stojącym.

Stronnicy praw zakazujących lichwę upatrują w niej wszelkie cechy przestępstwa, a mianowicie zły zamiar wyzyskiwania niedoli bliźniego z krzywdą jego, w widokach własnej korzyści, a często i za użyciem środków niegodziwych, jako to podstęp lub fałsz; jeżeli zaś lichwa stała się nałogiem lub sposobem do życia przestępcy, uważają potrzebę wymiaru surowszej kary.

Przeciwnicy tych zasad i zwolennicy bezwzględnej swobody kapitału i pracy, handlu i przemysłu, widzą w lichwie poprostu czyn cywilny, żadnym ograniczeniem prawa nie ulegający i są zdania, że gdy obroty kapitałem w spekulacji giełdowej, bankierstwie, handlu, przemyśle fabrycznym, rolnictwie lub rzemiośle nie są prawem zakazane i przyczyniają się do zapewnienia bytu i zamożności tylu rodzin, pomnażając bogactwo kraju, — tak samo zatem obrót kapitałem przez pożyczanie go różnym osobom w całości lub częściowo, na dłuższy lub krótszy termin, za umówionem wynagrodzeniem czyli procentem, w celu osiągnięcia tegoż zysku, za jakim ubiega się kupiec, rolnik lub rzemieślnik, chcący zwiększyć swoją zamożność, czynu bezprawnego i karygodnego stanowić nie może. Ilość owego zysku, choćby przewyższająca kapitał w ciągu roku, obojętną jest rzeczą; wszakże kupiec i przemysłowiec, obracając kilka razy do roku kapitałem w przedsięwzięcie włożonym, za każdym razem wyższe mogą mieć zyski od tych, jakie kapitalista z procentu przez rok cały otrzymuje. Prawda że pierwsi ulegają różnym stratom i zawodom, ale i ostatni są na nie wystawieni; jeżeli spekulant traci czasem na papierach kre-



N. 59.

Wiek XVI. Rycerz w pełnej zbroi, za nim szlachetne pachole trzyma proporzec. (Rysunek wzięty z księgi rodu Szydłowieckich).

dytowych, kupiec na towarach, kapitalista przez złe umieszczenie kapitału, przez niewypłacalność, lub złą wiarę dłużnika, ponosi również szkodę w procencie lub kapitale i narażony jest na koszt i zabiegi, jeżeli choć część mienia ocalić pragnie. Na ryzyko zatem kapitalista tak samo jest wystawiony jak kupiec, a

jeżeli ten ostatni doznane lub przypuszczalne straty odbija na kupującym, pierwszy wetuje je na dłużniku. Lichwa pokrywa owo ryzyko i stopa procentu zniża się lub podwyższa, w miarę bezpieczeństwa lokacji kapitału i osobistej rękojmi dłużnika. Procent, choćby lichwiarski, nie jest nigdy wymożonym; kapitalista nie zmusza nikogo aby od niego pożyczał, a jeżeli dając pieniądze, żąda wysokiego procentu pokrywającego owo ryzyko, oraz wymaga zabezpieczenia, zwłaszcza od dłużnika nie posiadającego dostatecznej rękojmi rzeczowej lub osobistej i w tym celu ciężkie stawia warunki, wolno je przyjąć lub odrzucić. Skoro biorący pożyczkę takowe przyjmuje, następuje dobrowolna umowa i ta jest prawem dla obu stron, którego naruszać się nie godzi.

Z tego zapatrując się stanowiska, lichwa, nawet jako sposób do życia, godziwym byłaby zarobkiem, a prawa zabraniające jej naruszałyby wolność rozporządzania własnością, świętość i ważność umów, nadwierałyby kredyty, tamowały swobodę handlu i przemysłu i przeszkadzały tém samém rozwojowi narodowego bogactwa.

Jeżeli pogląd stronników praw zakazowych zbyt jest absolutny i ciasny, to teoria ich przeciwników nadto jest sofistyczna; jedni

i drudzy mają słuszość, ale tylko w części, a prawda bezwzględna leży pośrodku. Wielkie zachodzą różnice między wolnością obracania kapitałem w celu zarobku, a lichwą; zbytnia wolność jest swawolą; nadmierne mnożenie kapitału z krzywdą drugich, jest aźioterstwem lub lichwą. Prawo ich nie zabrania, lecz moralność je potępia.

Pożyczanie pieniędzy pierwotkowo prostą było tylko dogodnością towarzyską, dopóki stosunków społecznych nie związał interes, a kapitał nie stał się środkiem przynależności bogactwa. Skoro z rozwojem handlu i przemysłu kapitał, jako potężna ich dźwignia, zaczął przynosić korzyści, pożyczka przestała być zwyczajną usługą, a stała się zyskową operacją. Pożyczający drugiemu kapitał, chciał mieć zapewniony ten sam zysk, jakiby mógł z użycia tego kapitału w inny sposób, w handlu lub przemyśle, osiągnąć; żądał więc procentów. Mojżesz zabronił wprawdzie Hebrajczykom pobierać procenta między sobą, lecz dopuścił wymagać ich od cudzoziemców. Arystoteles, Plato, Plutarch, Kato, Cycero, ojcowie kościoła św. Ambroży, św. Augustyn, Leon papież, Marcin Luther potępiali pożyczki na procent. Co więcej, pożyczanie na procent, tak jak trudnienie się lichwą, w średnich wiekach pociągało za sobą utratę praw rycerskiego stanu. Kościół jednak katolicki waha się w tym względzie i nie wyrzekł stanowczego zdania, a lubo brawe papieżkie z dnia 18 sierpnia 1830 r. dozwoliło dawać rozgrzeszenie pożyczającym pieniądze na procenta, niektórzy przecież teologowie nowocześni, a między nimi ks. Denavit, odmawiają absolucji nie tylko pożyczającym pieniądze, lecz nawet kapłanom utrzymującym, że prawo cywilne dostatecznie upoważnia pożyczki procentowe. Prawo kanoniczne potępienie to lichwy opiera na Piśmie świętym, a mianowicie na psalmie 14 Dawida, oraz na rozdz. 18 Ezechiela proroka, i w ogóle pobieranie procentów dotyka kościelnymi karami. Prawo rzymskie w niektórych przypadkach ściga lichwę. Dawne prawo niemieckie milczało w tym względzie;

dopiero ustawy cesarstwa zakazały wyższy nad 5% procent, stanowiąc kary pieniężne na lichwiarzy. Prawo dawne polskie, za przykładem kanonicznego i niemieckiego, wedle słów Marcina Śmigleckiego, (1)

(1) S. J. S. teologii dr., autor krótkiej nauki o lichwie i wyderkach, w Krakowie u Piotrkowczyka 1607 r. drukowanej



Nr. 60.

Wiek XVI. Garbarz przy robocie, w kożuszku granatowym, przy pasie torba skórzana, buty żółte. Naprzeciw stoi wyrostek na kiju oparty, z koszem na rękę, w szarej sukni, z czerwonym, szeroko włożonym kołnierzem. (Rysunek wzięty z rękopisu Baltazara Bema.)



N. 61.

Wiek XVI. Bednarze przy robocie. Jeden w koszuli białej, trzewikach i zielonej czapce; drugi w zawoju czerwonym, kaftanie różowym i butach czarnych skórzanych. (Rysunek wzięty z rękopisu Baltazara Bema.)

potępilo wszelki zysk z pożyczania czyli lichwę, jako prawem boskim, kościelnym, świeckim i przyrodzonym przeciwną zarazę i skażę narodu ludzkiego. W XVIII dopiero wieku stopa procentowa i kara za jej przekroczenie oznaczone zostały, a mianowicie: konstytucją sejmu ekstraord. warszawskiego z r. 1775 (vol. leg. VIII now. edycyi str. 142) ustanowiono procent prawny na 5%, a w razie nieuiszczenia się w terminie *pro poena* procent takowy od daty uchybionego terminu na 7% podniesiono. Wyciąganie wyższych procentów karą 500 grzywien i utratą rocznej prowizji zagrożono. Wszelkie procenta zaległe od summ świeckich, pod jakimkolwiek tytułem wypożyczonych, na 5%, od summ kościelnych i funduszowych w Koronie na 3½%, w Litwie zaś od summ świeckich 7% a duchownych na 6% oznaczono. (vol. leg. VIII now. ed. str. 404). Ta sama stopa prawnego procentu 5% i w prawie wekslowém pomienioną konstytucją z 1775 r. (vol. VIII n. ed. str. 124) nadaném, utrzymaną została. Biorącym więcej niż 7% procentu, konst. sejmu ord. warsz. z 1776 roku w ustawie podatku księstwa litewskiego zagrożiła utratą 10 części kapitału i unieważnieniem zobowiązania. (v. leg. VIII str. 566). Istniały wprawdzie i wcześniej rozporządzenia co do stopy procentu i właściwej lichwy, ale z tych pierwsze odnosiły się do czynszów, drugie zaś do lichwy przez Żydów sposobem rzemiosła wyłącznie prowadzonej. Papięz Klemens VIII w r. 1592 postanowił po wszystkich państwie swém, aby więcej nad 7% czynszu nie szło z dóbr *in vim reemptionis* czyli prawem wderkaufu, t. j. zastawy z możliwością odkupu posiadanych. Ten sam czynsz, podług Śmigleckiego, i u nas był praktykowany, a konstytucją sejmu warszawskiego z r. 1635, stanowiącą iż dobra wyderkafem obciążone w posiadaniu dziedziców za opłatą przez nich czynszu 7% pozostawać mają, zatwierdzony został. (1) Lichwa dozwolona była Żydom przywilejem wolności żydowskich przez księcia Bolesława w 1264 r. wydanym, przez Kazimira W. w 1343 r. potwierdzonym i w statucie Aleksandra z 1505 r. wpisanym, (vol. I str. 143), a nawet lichwa od lichwy dopuszczoną została. Statut wiślicki z 1347 r. (vol. I str. 14), celem poskromienia nienasyconej chciwości i zdzierstwa lichwiarzy, lichwę do grosza jednego tygodniowo od grzywny ograniczył (2) i nakazał Żydom procent taki z wiedzą i zgodą przyjmować (cum gratiarum actione recipere). Oznaczając wszakże tak wysoką stopę procentu i tak krótkie terminy, prawodawca miał na względzie tylko pożyczki w nagłej potrzebie i nie na długo—w razie bowiem gdy zobowiązanie było na piśmie i wierzyciel przez dwa lata nie domagał się zwrotu pożyczki, aby tym sposobem przynależność lichwy, —prawodawca przychodził w pomoc uciemiężonemu dłużnikowi i zwalniał go od płacenia takiej lichwy, zobowiązując jedynie do zwrotu kapitału. Konstytucja sejmu warszawskiego z r. 1670 za Michała króla (vol. V str. 44), zapobiegając aby *perfidia* i swawola żydowska góry nie brała, wznowiła dawne przeciwko nim prawa i dodała że od pieniędzy pożyczonych niema Żyd więcej brać na rok nad zł. 20%. O chrześcianach konstytucja zamilała, ci bowiem ulegali cenzurom kościelnym, a że nie brak ich było, na dowód tego przytoczymy ustęp z rozprawy Śmigleckiego, z górą na pół wieku przedtem wydanej. „Lecz teraz takie czasy nastały, że co się między pogany nie godziło, to się u chrześcian godzi: to jest, znajdują się tak niezbożni lichwiarze, którzy łakomstwu swemu żadnego powściągnięcia nie czyniąc, okrutnemi i nieznośnemi lichwami rozbój w majątnościach ludzkich czynią i do ostatniej nędzy i ubóstwa przywodzą ludzi potrzebne, —których nędza ludzka nie do miłosierdzia ale do większego okrucieństwa przywodzi, —których ubóstwem ludzkim bogactw nabywają, płaczem nędznych ugaszają łakomstwo swoje, niewolą ubogich wolności nabywają.“ Jędrne te oburzenia wyrazy jezuita-prawnika i dziś jeszcze byłyby na dobie. Nowsze prawodawstwa po większej części wyłączały lichwę z rzędu przestępstw, a niektóre wtedy tylko ją karzą, gdy jako stałe zatrudnienie jest prowadzoną, inne zaś, jak pruskie, kilku kantonów szwajcarskich i obowiązujące u nas od r. 1847, pobieranie wyższego nad prawny procent za przestępstwo poczytały.

Stopa prawna procentu nie zawsze i nie wszędzie jest jednakowa. Prawo 12 tablic oznaczyło ją na 42%;

i przez Bandtkiego w Prawie prywatnym polskim przytaczają; dobry może teolog, ale lichy prawnik, a lichszy jeszcze ekonomista.

(1) Ta szczególna forma zobowiązania, wyderkaf czyli wyderka zwana, była skutkiem mylnych wyobrażeń o niegodziwości pożyczki; pod postacią bowiem owej zastawy czyli kupna i sprzedaży dóbr z możliwością odkupu, w rzeczywistości posiadanie których nabywca dający pieniądze nie wchodził—ukrywała się pożyczka, od jakiej procentem był czynsz.

(2) Ponieważ bito wtedy z grzywny groszy 60, wynosiło to zatem 86⅔ %.

Justynian tę samą stopę utrzymał w pożyczkach morskich, w handlowych zaś na 8%, między prywatnemi na 6%, a dla ludzi znakomitych na 4% oznaczył. We Francji w XVI wieku stopa legalna początkowo wynosiła 10%, w 1567 r. doszła do 12% i następnie tak wzrastała, że w r. 1665 była 20%. Ze zmianą stopy procentu, zmieniła się też samą podstawą do wyzreczenia lichwy, czyli istota przestępstwa.

U nas prawo cywilne dopuszcza procenta prawne i umowne. Prawny procent oznaczony jest postanowieniem króla saskiego księcia warszawskiego i uchwałą sejmową z r. 1818 w stosunkach handlowych na 6%, a w wszelkich innych na 5%. Procent umowny mógł przewyższać procent prawny, ilekroć tego prawo nie zabraniało; w wyższej jednak nad prawny ilości zasądzonym być nie mógł. Kodeks kar głównych i poprawczych dopiero pobieranie wyższych nad prawne procenta za lichwę uznał i odpowiednią zagroził karą.

Przepisy te jednak kodeksu nie są w zgodzie z zasadniczymi pojęciami prawa karnego, jakkolwiek stroniący zakazu lichwy godzić je z niemi usiłują. Prawda że prawo karne każde naruszenie przepisów dla bezpieczeństwa ogółu wydanych za czyn karygodny poczytuje, do pojęcia jednak przestępstwa wymagamy koniecznie złego zamiaru i szkody trzeciej osobie, w widokach nieprawych, wyrządzonej lub usiłowanej. Gdzież ów zły zamiar w działaniu lichwiarza? Dopuszcza się on zaiste lichwy w widokach korzyści własnej, ale widok ten nieprawym nie jest, każdy bowiem starać się wienien o skarby tego świata, jak to pewien arcywomowny kaznodzieja niedawno nauczał, aby przez to stać się mógł użytecznym bliźniemu i ojczyźnie i w przyszłym życiu wiekiusią zarobić chwałę. Zapewne że pomnożenie majątku bez pracy sprzeciwia się nawet może powołaniu człowieka na ziemi, że praca tylko uszlachetnia zarobek; ależ nie tylko lichwa jest jednym z owych lekkich sposobów nabywania majątku. Jeżeli lichwiarz istotnie chce korzystać z nieszczęśliwego położenia biorącego pożyczkę, że zbiegu smutnych jakich okoliczności, które nie pozwalają dłużnikowi wybierać w środkach ratunku choćby chwilowego, jeżeli lichwiarz wyzyskuje niedoświadczenie młodości lub słabość płci niewieściej, używa podstępów, wprowadza w błąd fałszywem przedstawieniem interesu, a nawet skłania do popełnienia oszustwa lub fałszu, — wtedy staje się winnym już nie lichwy, lecz karygodnego wyzyskiwania, oszustwa lub fałszu, albo podżegania do tych przestępstw. Szkoda istnieje wprawdzie, widzimy bowiem rodziny pogrążone w nędzy, wyzute z wszelkich środków utrzymania, pozbawione gospodarstw, warsztatów, narzędzi, skutkiem przeciążenia lichwiarzskimi procentami, które nieraz o wiele kapitał wypożyczony przewyższają; —ale wina w tym dłużnika, że zawarł tak niekorzystne zobowiązanie, że przyjął tak uciążliwe warunki. Prawo też cywilne nakazuje szanować dobrowolne umowy i nie nakazuje zwrotu zapłaconych nad stopę prawną procentów.

Z tego co dotąd powiedzieliśmy okazuje się, iż lichwa nie zawiera w sobie warunków do istnienia przestępstwa koniecznych, nie powinna być zatem przedmiotem rozporządzeń prawa karnego. Jakże wreszcie określa kodeks u nas obowiązujący to przestępstwo w art. 1217? „Kto wyższe niż prawo dozwala od wypożyczonych pieniędzy pobiera procenta, ulegnie za pierwszym razem karze pieniężnej w trójnastob większej od lichwy przez niego pobranej, za drugim tej samej karze i aresztowi od 3 tygodni do 3 miesięcy, za trzecim takiejże karze pieniężnej i osadzeniu w więzy od roku do 2 lat.“ Pruskie prawo jest jeszcze surowszém niemal, w § 263 bowiem stanowi karę więzienia od 3 miesięcy do roku, z zawieszeniem w używaniu praw obywatelskich, i oprócz tego karą pieniężną od 50 do 1000 talarów. Ten zatem co 6% na rok i ten co tyleż na miesiąc pobiera procentu, jednakowej prawie ulega karze; a pomimo tego rzadkim jest u nas wypadkiem, aby ktokolwiek na prawnym poprzestawał procentem; 6,7% na rok przy pewnej hipotece, zwykłą jest stopą w jurydyceki trybunału warszawskiego, 10,12% w jurydyceki innych trybunałów. Napływ kapitałów do stolicy, dla braku instytucyj kredytowych w kraju, obawa kosztów, trudności i zwłoki w egzekucyi, jeżeli kapitał wypożyczony jest poza obrębem jurydyceki zamieszkania wierzyciela, są przyczyną tak różnej stopy procentu. W obliczu prawa karnego każdy zatem biorący wyżej nad 5% jest lichwiarzem i ulega karze art. 1217 k. k. g. i p. przepisanej, jeżeli o czyn takowy dowodami prawnie przekonany zostanie. Podług art. 42 ustawy przechodniej do kodeksu kar, sprawy o lichwę nie mogą ulegać rozpoznaniu sądów karnych, nim istnienie jej, wyrokiem ostatecznym lub prawomocnym sądu cywilnego lub handlowego, uznanem zostanie; przepis ten wszakże nie stosuje się do osób

zwykle lichwą jako sposobem zarobkowania trudniących się, które są pociągane do odpowiedzialności przed sądy karne, bez względu na to czy sprawa przez sąd cywilny lub handlowy przechodziła lub nie. Otóż czy na drodze cywilnej czy karnej, dowód ten trudnym jest do osiągnięcia. Dający pieniądze na procent znają przepisy i umieją je obejść; w żadnym akcie urzędowym czy prywatnym o zastrzeżonym wyższym procencie niema wzmianki; zwykle potrąca się on z góry, a termin zobowiązania jest roczny, gdyż w razie niewypłacenia przez dłużnika umówionego procentu, kapitał wymagalnym się staje. Operacje lichwiarskie tém bardziej odbywane są z największą ostrożnością i bez świadków. Różnego bywają one rodzaju i formy, stosownie do położenia dłużnika i jego potrzeby. Najpospolitsza forma pożyczki jest z rozkładem na raty. I tak, ktoś potrzebuje 300 zł.; dostać ich może na rok placąc po 5% miesięcznie; procent ten za cały rok obliczony t. j. 180 zł. dodaje się do żądanej sumy zł. 300 i na ogólną ilość zł. 480 wystawia się rewers z solidarnymi poręczycielami, a następnie przez cały rok spłaca pożyczkę miesięcznymi ratami po zł. 40. I to się zowie jeszcze przyjacielską dogodnością!!! Przy takich ostrożnościach ze strony lichwiarzy, trudno o dowód przeciwko nim. Sądy związane teorią o dowodach, nieraz wbrew własnemu przekonaniu uwalniać muszą lichwiarzy od zarzutu, i dlatego tak rzadko zdarzają się u nas sprawy tego rodzaju, choć lichwa ze wszech stron daje się nam we znaki.

Przed niedawnymi laty, w skutek kilku smutnych wypadków, ustanowioną została komisya do śledzenia lichwiarzy, i kilku z nich osadzono w więzieniu; to energiczne jednak wystąpienie władzy lichwiarstwa nie ukróciło, a nawet stopy procentów lichwiarskich nie zmniejszyło.

Kiedy więc prawo i w zasadzie i w zastosowaniu okazuje się niezdolnym do wytypienia lichwy, gdzieindziej środków zaradczych szukać potrzeba. Na samym wstępie powiedzieliśmy, że źródło złego w nas samych leży, że wziąć się nam trzeba do oszczędności i pracy, aby znaleźć pomoc w złą godzinę. Usiłowania nasze jednak, bez instytucyj pożyczkowych i kredytowych, byłyby bezowocne. Mamy już wprawdzie niektóre instytucje, ale nie wszystkie jakich nam potrzeba i nie w należyty stopniu rozwoju. Kasy oszczędności zaprawdę wiele pożytku przyniosły, mają nawet mnóstwo uczestników i liczba ich zwiększały się znakomicie, gdyby nie obawy różnego rodzaju i brak zarobku, co zmuszają wielu do cofania wniosków. Lecz jeżeli wkłady do kass oszczędności stają się rzadszemi, zato niestety bank i lombard przepełniają zastawy, urzędnicy tych zakładów obarczeni są czynnościami, a interesanci narzekają na dozwianą zwłokę i trudności, oraz wysoką takse; dlatego filia lombardu koniecznie jest potrzebną, zwłaszcza że przez rozszerzenie zakresu działań lombardu, zmniejszyłyby się pokątne pożyczki na zastaw. Prawda że na urządzenie takiej filii i powiększenie kapitału wypożyczanego wypadaloby znaleźć fundusze, a o ten szkopuł niejedne piękne rozbijają się zamiary, —mniemamy wszelako że gdy miliony znaleźć się mogą na rozszerzenie miasta lub kanalizacyą, tém łatwiej możnaby znaleźć kilkakroć stotyścię, dla wyzbawienia od niedostatku, choćby chwilowego, licznych rodzin proletaryatu miejskiego. Przed dwoma laty 200,000 zł. z funduszu kwaterunkowego udzielono sposobem pożyczki Towarzystwu Dobroczynności, celem przyścia w pomoc klasie rzemieślniczej; fundusz ten wszakże zwróconym być musiał. Mysł urzędzenia lombardu przy Towarzystwie Dobroczynności była już rzuconą, a choć nie weszła w wykonanie, dała atoli życie kassom pożyczkowym, które tak zbawienną pomoc naszej ludności robotniczej przynoszą. Kasy pożyczkowe istnieją również przy towarzystwie Wincentego a Paulo i przy Redakcyi Czytelnicy Niedzielnej. Formalności wszakże w Tow. Dobr. przyjęte utrudniają zbytecznie pozyskanie pożyczki; pragnący bowiem je otrzymać, przedewszystkiem powinien zgłosić się do towarzystwa po przedstawienie do pożyczki w formie blankietu wydane; z blankietem tym udaje się do dwóch poręczycieli, a zyskawszy ich podpisy, składa towarzystwu ich blankiet, który następnie przesyłanym bywa opiekunowi cyrkulowemu do sprawdzenia zamocności proszącego i poręczycieli, oraz do opinii czy proszący zasługuje na udzielenie pożyczki. Następnie interes ten przechodzi przez sessyą wydziału pożyczkowego, a jeżeli wydział pożyczkę przyzna, wtedy dopiero proszący z poręczycielami zgłasza się do kasy i w ich obecności następuje wypłata. Formalności te trwają zwykle miesiąc, z obrazą zasady *bis dat qui cito dat*. Daleko krócej byłoby, gdyby proszący z poręczycielami wprost zgłaszał się do opiekuna cyrkulowego po opinię, i ten ją od siebie na sessyą wy-

działu przedstawiał; sessye mogłyby się raz w tydzień odbywać, a żądający pożyczki mogliby w ciągu kilku dni ją zyskiwać. Pożyczki mniejszych kwot na słowo, niedawno w życie wprowadzone, nie odpowiedziały dotąd w zupełności oczekiwaniom, z powodu niesłowności pożyczających. Może być, że wyjątkowe okoliczności czasowe i zbyt duża znowu łatwość w udzielaniu pożyczki, wpłynęły na to niepowodzenie, które wszakże, mamy nadzieję, będzie tylko czasowem.

Oprócz lombardów i kass pożyczkowych, brak nam jeszcze dwóch pożytecznych instytucyj. Pierwszą z nich są bazy, gdzieby mogły być wystawiane na sprzedaż różne przedmioty przynieszone przez osoby potrzebą do tego zagnane. Są rzeczy które w lombardzie zastawić trudno, które sprzedać w razie koniecznym niełatwo, chyba z wielką stratą. Na rzeczy takie możnaby natychmiastowe udzielać zaliczenia i te po sprzedaży wraz z kommissowem w otrzymanego szacunku potrącać. Użyteczność takiej instytucyj była już w jednej z gazet naszych rozbiórana. Drugą instytucją, nierównie może ważniejszą, są stowarzyszenia wzajemnej pomocy, o których pisał p. Ludwik Górski w Bibliotece warszawskiej i korespondent z Londynu do Gazety warszawskiej. Użyteczność ich dowodzenia nie potrzebuje dotąd o tym stowarzyszeniu nie mamy. Malarze i rzeźbiarze nasi w Towarzystwie zachęty sztuk pięknych w danych razach mogą znaleźć pomoc. Muzycy, lekarze, aptekarze mają stowarzyszenia przychodzące w pomoc podupadłym kolegom, sierotom ich i wdowom. Prawnicy o podobnym towarzystwie myśleli. Literaci tylko, urzędnicy etatowi i rzemieślnicy wystawieni są na ciężką walkę z losem. Dla literatów we Francji i w Rosji istnieją towarzystwa wsparcia.

U nas dla zabezpieczenia ich bytu nie dotychczas nie zrobiono, a położenie ich materialne w porównaniu ze stanowiskiem literatów w innych krajach, nie jest do zazdrości. Początki zawodu wszędzie są jednakowo trudne; młody literat nieraz długo walczyć musi z niedostatkiem, z głodem nawet, zanim na przyzwolite utrzymanie zapracować zdola. We Francji, w Niemczech trudniej mu może nawet niż u nas pierwsze kroki stawiać. Do iluż to księgarzy, do iluż redaktorów napróżno kołatać musi, zanim prace jego wydrukowane zostaną! U nas, przy szczerpłej liczbie piszących, redakcyje pism periodycznych gościnnie szpalty swe dla początkujących otwierają i z głodu umrzeć im nie dadzą; ale za to nikt na literaturze majątku nie zrobił. Są zasłużeni mężowie, co zdobyli sobie uznanie ogółu, i uznanie to przez ręce nakładców dostarcza im mniej lub więcej środków do niezależnego życia; lecz jakżeż to daleko do owych krociów, jakie francuzcy lub angielscy pisarze zbierają za swoje utwory! Skarżymy się na honorarya księgarzy, ale czyż to ich wina że książki nasze poza obręb kraju nie wychodzą prawie, a i w kraju w tak szczerpłej rozprzedają się liczbie? Stosunek wydawanych u nas dzieł do ludności tak jest mały, że pewno pod tym względem w ostatnim rządzie krajów, razem może z Grenlandją, staniemy.

Przeszkody granic, niższej oświaty, mniejszej zamożności, zapewne są ważną tego smutnego stosunku przyczyną, ale i nasza w tym wina, mało bowiem czytamy, mało kupujemy książek. Spytajcie księgarzy tutejszych co główny ich zysk stanowi,—oto sprowadzanie francuzkich książek; gdyby naszych tylko książek nakłady miały dla nich stanowić sposób do życia, to trudnoby im przyszło wyżyć się tym kawałkiem chleba. W takim stanie czytelnictwa i księgarstwa, jakież może być położenie literata? oto staje się rzemieślnikiem, pisze jak żyje z dnia na dzień, aby jaknajwięcej tylko wierszy nabazgrać; do studyów nie ma czasu, bo jeść trzeba, a lichwiarz często gęsto nawidza go i niejedną szlachetną myśl, co was za serce chwytą, niejednen rzewny obrazek, co piękne czytelnicki do łez wzrusza, poszły na procent dla lichwiarza. Kto wie, może on nawet owe szczytne ustępy wywołał, depcząc po piętach biednemu poecie. Mówią o niezależności literata, a od kogoż on zależnym nie jest? od księgarza, redaktora, lichwiarza, od czasów i okoliczności i od względów publiczności, od słońca nawet lub mrozu, gdyż w sierpniu nikt nie czyta. Biedny literat zatem nie pisze wtedy, grzeje się na słońcu i chłodzi ogórkiem.

Ale poco zrywać zasłony i psuć wrażenie. O gorczykach literackiego zawodu—rzeczywistego zawodu

wszelkich marzeń—tomy napisaćby można, ale to podobno odłożyć trzeba do zimy, a tymczasem do innych ofiar lichwy powrócić należy.

Urzędnicy mają emeryturę i pożyczki z funduszków skarbowych, ale fundusze te są niewielkie i pożyczki, z powodu żądanych poręczycieli, wolnych od innych zobowiązań i nie niższą mających pensją, niełatwe do otrzymania. Niżsi jednak urzędnicy, szczerpłą pobierający płacę, zwykle są pastwą lichwiarzy i połowa ich pensji nieraz idzie na opłatę procentów. Jeżeli liczba urzędników zmniejszona zostanie, a płaca ich podwyższoną, przy obniżeniu składki emerytalnej, los ich polepszonym być może; zawsze jednak wypadłoby obmyśleć sposób przychodzenia im w pomoc w razie choroby lub niedostatku, bez konieczności odwoływania się do poręczycieli. Godność i niezależność urzędnika częstokroć cierpi na jego materialnym niedostatku, jeżeli smutniejszych jeszcze nie sprawadza następstw. Niedość zalecać uczciwość w postępowaniu, ale przyzwoitę wynagrodzeniem trzeba urzędnika zabezpieczyć od pokusy szukania w niegodziwych zyskach środków utrzymania.

Rzemieślnika położenie równie jest smutnym, gdy brak roboty, odbytu, lub choroba nędzą mu zagraża. Istnieją wprawdzie miesięczne składki, w celu wsparcia podupadłych lub chorych, te wszakże zaradzić niedostatkowi nie mogą. Wsparcie szczerpłe nie wystarcza nawet na utrzymanie, jest tylko czasowem i nie stawia w możności wyjścia z biedy. Rzemieślnik, zmuszony ciężkimi okolicznościami, ucieka się do lichwy, zastawia lub sprzedaje rzeczy, sprzęty, narzędzia i pozbawia się tym sposobem środków zarobku. Dotychczasowe składki inaczey urządzone być winny; mogłyby być podwyższone w stosunku do zamożności lub codziennego zarobku rzemieślnika. Wsparcia należałoby znieść, a natomiast wprowadzić pożyczki z umiarkowanym procentem, rozłożone na raty; tym sposobem rzemieślnik mógłby otrzymywać większe kwoty, a zwracając je w miarę zarobku, nie ustawałby w pracy i zwiększałby jeszcze fundusz użyteczności ogólnej.

Kręśląc te smutne obrazy teraźniejszości, nie wyrzekamy się jednak nadziei lepszej przyszłości, owszem żywymy to mocne przekonanie, że rządnością i umiarkowaniem, za zniesieniem przepisów prawa karnego o lichwie i zachowaniem tylko rozporządzeń kodeksu cywilnego o procentach, przy wprowadzeniu w życie nowych instytucyj pożyczkowych i urzędzeniu odpowiedniemi już istniejących, położymy tamę szerzenia się lichwy. Rozwinięcie kredytu i przemysłu w całym kraju będzie ku temu dzielną podporą. Tę dobrą wróżbę wyciągamy z założenia domów zleceń obywatelskich. Jaką pomoc one już przyniosły w tej sprawie odrodzenia naszych stosunków rolniczych, przemysłowych i handlowych, jaką na tém polu rozwinęły działalność, przekonujemy się z dorocznych sprawozdań z ich czynności. Domy te wszakże, lubo niejednego ziemianina ratują w potrzebie, udzielając zaliczenia na produkta w śpichrzach spółki składane, z przeznaczenia swego głównie kommissowego, nie mogą wdawać się w czynności pożyczkowe, a tém samem zastąpić instytucyj na kredycie osobistym i rzeczowym opartych, jak n. p. banki rolnicze, których tak gwałtowna daje się czuć potrzeba. Tego rodzaju instytucyje, dając nowy popęd rolnictwu i przemysłowi, podniosłyby gospodarstwo krajowe, zabezpieczyły dobrobyt ogółu i wyzwoliły zarazem większą część naszych ziemian od haraczu, jaki lichwiarzom miasteczkowym pod różnymi postaciami dotąd opłacają. Obok takich zakładów ziemskich czy powiatowych, znalazłoby się miejsce i dla rozleglejszych instytucyj kraj cały obejmujących, jak n. p. stowarzyszenie poręczające kredyt hipoteczny w Prussach, lub kredytu ruchomego we Francji. Wielkie takie stowarzyszenia, przedsiębiorstwa kolei, kanałów, eksploatacyi i konserwacyi lasów, wywołałyby z ukrycia i w ruch wprowadziły kapitały na nieruchomościach wiejskich i miejskich nagromadzone, lub lichwą żywiące się. Przy takim ruchu otworzyłoby się szerokie pole dla inteligencji i pracy; ludzie kręcący się w drobnych i ciasnych kółkach, piórem, pędzlem lub dłutem zdobywający zarobek codzienny, jaki niezawsze na chleb powszedni starczy, znaleźliby pewniejsze utrzymanie, wyrwaliby się ze szponów niedostatku i lichwy, pracowaliby dzielnie; bo z wiarą że w godzinie niedoli w skarbnicy stowarzyszenia znajdzie się dla nich pomoc braterska, a nie poniżająca jałmużna. Z rozwojem kredytu, z nieograniczonem współzawodnictwem kapitału, a spotęgowaniem sił pracy i zabezpieczeniem jej od wypadków losowych, dobrobyt u nas podnieść się, a tém

samém i stopa umownych procentów zniżyć się musi. Lichwa wtedy upadnie, a wyraz lichwiarz zostanie chyba w słowniku, jako ślad minionej złej doli. *Utinam sim vates!* Z. Z.

NIKTÓRE PAMIĄTKI

PO JANIE III W BAWARYI.

W czasie wyprawy wiedeńskiej towarzyszył królowi polskiemu elektor bawarski Maksymilian Emanuel, a po odniesioném zwycięztwie prosił królewskiego wodza o rękę jego córki, księżniczki Teresy Kunegundy, którą poślubił 15 kwietnia 1694 roku.

Niektóre pamiątki z czasów Sobieskiego przechowały się więc w Bawaryi, a imię tego króla dotąd ze czcią wspominanem tam bywa.

Przy nowo budującym się wspaniałym gmachu, zwanym Maximilianeum, mają być wyobrazone znakomitsze zdarzenia dziejowe, a między innymi oswoobdzenie Wiednia. Na tym obrazie umieszczony będzie Maksymilian Emanuel, obok Jana III i królewicza Jakuba pod Wiedniem. Obraz ten, kolosalnych rozmiarów, wykonać ma al fresco na zewnętrznej ścianie budowli professor Dietz, malarz nadworny księcia badenkiego, znany batalista; karton obrazu już jest wykończony.

Co do pamiątek dawniejszych, w zamku Schleisheim niedaleko Monachium znajdują się różne obrazy bitew z Turkami. Szczególniej zasługuje na uwagę ósm obrazów średnich rozmiarów, przedstawiających bitwy Sobieskiego pod Wiedniem, Parkanami, Chocimem i inne, malowane przez społecznego artystę Pierre de Martin, a dokładnie przedstawiające miejscowość pod względem strategicznym. Inny obraz olejny średniej wielkości przedstawia Jana III jako zwycięzcę pod Wiedniem, w stroju idealizowanym rzymskim na koniu, a nad nim unoszącą się chwałę, z tarczą herbową tegoż króla. Wykonał go Jerzy Eleuter malarz królewski; sztuchowany zaś był w Warszawie przez Karola de la Haye.

W krużgankach zamku królewskiego w Monachium jest wyobrazenie rodziny króla Jana III, zupełnie takie same, tylko nieco mniejsze, jak na obrazie w zbiorze p. marszałka Sarneckiego w Warszawie, który malował Henryk Gascar w Rzymie 1601 r., a sztuchował Benedykt Faviat tamże roku 1693. Obraz ten odtworzony był także w drzeworycie w Tygodniku Ilustrowanym Nr 148; monachijski zdaje się być jego duplikatem. W nowem muzeum starożytnych pamiątek, znajduje się piękna na pergaminie miniatura Jana III, pędzla nieznanego artysty.

W tymże zbiorze oglądałem także dwa ozdobne pistolety, tu w wiernym przerysie zamieszczone, po 23 cali długie, ze szmelcowanego żelaza i w kość słoniową oprawne, które były własnością króla Jana III. Na rękojeści rzeźbiona jest postać króla, a na obrączce złoty wyryte następujące napisy: na jednej „Effigies Sobiescii regis Polonorum,“ na drugiej „Arma quae obtulit serenissimo electori Bavariae Maximiliano III 1773, dominus comes Ignatius Potocki, Capitaneus Canioviensis. Na lufie zaś umieszczone jest imię puszkarza: Lottroux à Mastrich.

Aleksander Lesser.

JAREMA,

studyum

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICJI,

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Powiódłszy okiem po dużych obrazach i zwierciadłach w złotych ramach, o których wartości zbyt wysokie miał wyobrażenie, pokiwał głową i rzekł do siebie:

— Mój Boże! Jak to dobrze tym ludziom! Oni tu bawią się i jedzą i piją, i nawet nie pomyśla o tém, że jakimś tam biednemu Jaremie wydarli dziadowiznę, a jego samego wypędzili w świat szeroki, w ciężką, oh bardzo ciężką służbę!... Tam ze wsi słyhać ryk głodnej trzody, w chałupach ciemno, bo niema czém palić; bez strawy kładzie się na piec gospodarz, aby jutro wstał do roboty... a tu tak wesolo, z tego dużego dzbana kurzy się para... jedzą, piją, śmieją się!...

I zacisnął pięść i wznosił ją groźnie do góry.

A tam za oknami właśnie w tej chwili mówił proboszcz owe piękne słowa, że lud miłością trzeba do siebie podnosić, trzeba go ukochać jako brata, bo serce jego jest szlachetne, tylko mu brak oświaty. Wdowa postanowiła właśnie ze sprzedaży pustek ofiarować sto dukatów na szkołę dla ludu, aby ten młodszy, zaniedbany brat nie był ciemny. Jadwiga i Władysław wezbranym sercem dzielali teraz zamiary wdowy i marzyli o swoim przyszłym szczęściu wśród szczęśliwego ludu!... A nawet pułkownik przestał już biegać, a chociaż z wnioskiem wdowy nie mógł się jeszcze zupełnie zgodzić, miał już jednak ochotę wejść w targ o punkta kapitulacji, bo w obec argumentów proboszcza, trudno było staremu żołnierzowi trzymać się w ostrzeliwanej ciągłej redukcji...

I to wszystko działo się tej samej godziny, gdy Jarema z wyciągniętą do okna pięścią stał oparty o plot. O nie, to nie był ów Jarema, któremu przed laty dwudziestu wcisnęła do ręki ta sama kobieta, co tam siedzi przy stole w stroju wdowim, talara z Matką Boską, gdy ze dworu wychodził... To był wcale inny, inny człowiek!...

W tej chwili spostrzeżono z wewnątrz pokoju Jarema. Wszyscy zwrócili się do okna, a Jarema odszedł.

Na skrócie drogi stała figura wyobrażająca św. Floryana, opiekuna od pożarów. Wzniosła ją tutaj pobożna ręka dawnego dziedzica Nowejwsi, a wieść miała, że od tego czasu nie było ani we dworze, ani we wsi żadnego pożaru. Jarema znał doskonale tę figurę, bo będąc pastuchem wiał wianki z bławatków dla świętych i zawiesział je na szerokiej konwi, którą św. patron gasił pożar u stóp swoich.

Przechodząc koło tej figury, mimowolnie zdjął czapkę. A w tej chwili stanęły mu przed oczami wspomnienia młodości i ożwało się w nim to piękne, proste uczucie wiary w świętych opiekunów, które w ciągu tych dwudziestu lat mocno nadwzoryły bezbożne z kamratami pogadanki.

Jarema wyjął rękę z kieszeni i przeżegnał się przed św. Floryanem!...

Uszedł kawał drogi wśród deszczu i burzy. Figura oddalała się od niego coraz więcej, a w jego głowie budziły się znowu nieprzyjemne wspomnienia. I myślał sobie:

— Jam tu obcy, ja tutaj nie mam ani piędzi ziemi! Mysz ma dziurę, ptak gałązkę drzewa, a mnie wypchnięto ze wsi rodzinnej, oddano w rekruty, wzięto dziadowiznę!...

I zawrócił znowu do dworu, ale figurę ominął i inną poszedł drogą.

Zbliżył się do ganku i cały przemoczony, rzucił się na ławkę. I rzekł do siebie:

— Tu będę mókł i gnął, póki mi krzywdy mojej nie wrócą!

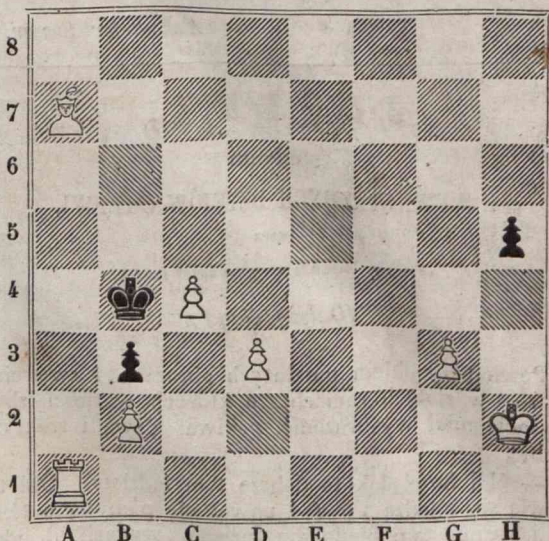
Wyszła z sieni stara babulka i przestraszyła się. Usłyszawszy krzyk staruszki, wyszli goście i domowi z pokoju.

SZACHY.

ZADANIE CXIX.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



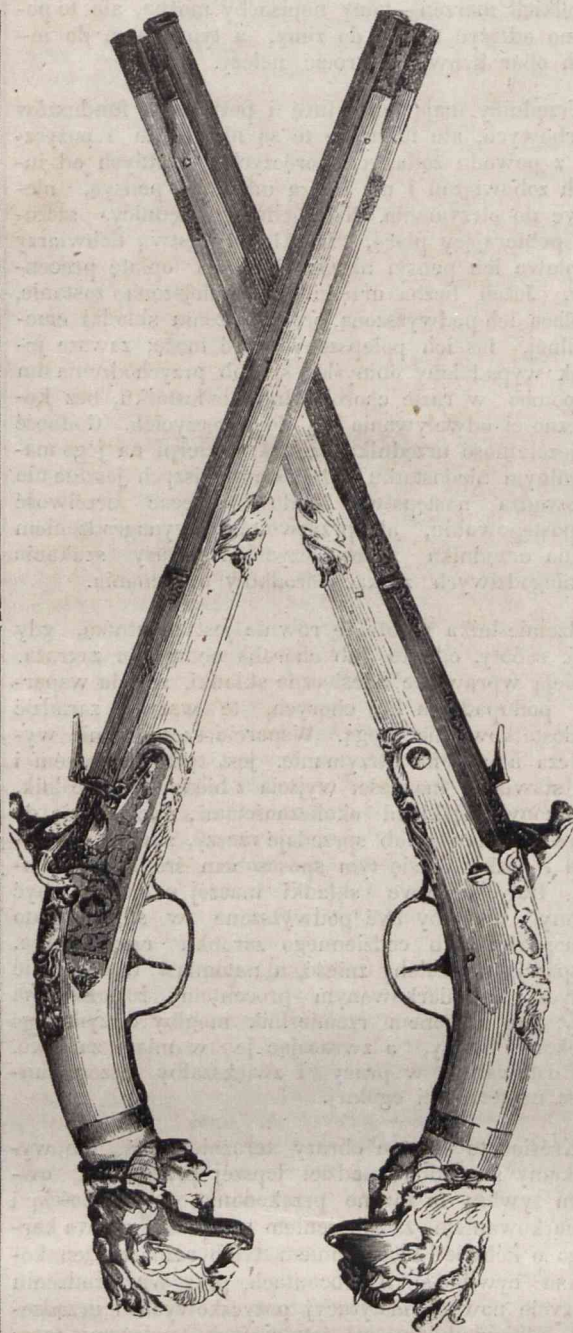
Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 157.

Białe.

Czarne.

- 1) E 2—E 4 . . . 1) E 5—E 4 biorą.
- 2) B 6—F 2 . . . 2) E 4—E 5.
- 3) F 2—F 4 † i mat.



Pistolety będące niegdyś własnością króla Jana III. (Rysował na drzewie Tegazzo, podług A. Lessera).

- Kto tu jest? zawołał pułkownik.
- Jarema, ponuro odpowiedział przybysz.
- Co za Jarema? zapytało kilka głosów.
- Jarema, co to przed laty dwudziestu służył we dworze, odpowiedział przybysz, co to oddano go w rekruty!...

— Al Jarema! zawołała wdowa ze spółzuciem właściwym naszym kobietom, gdy po długim czasie dawnego sługę spotykają... Jarema! O to bardzo dawno już... Jarema! a czemuż na Boga tak ludzi przestraszacie? Ledwo nie pomdleliśmy z przestraszonych. Czemuż nie poszliście wprzód do piekarni?... Idźcie, osuszcie się; tam jest Jacenty i Mateusz i Nastka.

Jarema zdjął czapkę i z dawną pokorą pokłonił się wdowie. Ktoby jednak widział w tej chwili wyraz jego twarzy, nie wierzyłby tej pokorze, która była tylko dawnym nałogiem.

— Ja nie chcę, przerwał wdowie, jasna pani, ani Mateusza, ani Jacentego, tylko do samej jasnej pani mam interes.

— Do kroć tysięcy katów! krzyknął pułkownik, którego taka niesubordynacja już nudzić zaczęła; do milion beczek!... któż o dziesiątej godzinie przychodzi do dworu z interesem?

— Bo mi pilno, jasny panie! odparł z pokornym ukłonem Jarema.

— A cóż cię tam pali? ofuknął się pułkownik.

— Mnie nie pali, jasny panie, odrzekł zimno Jarema, wódki nie piłem. Mnie owszem zimno, bo do nitki przemożem.

Proboszcz spostrzegł, że tutaj ma się z jakimś awanturnikiem do czynienia, z którym najłatwiejsza będzie sprawa, gdy się najgrzeczniej z nim obejda. Postąpił więc naprzód i słodkim zapytał głosem:

— Przyjacielu, powiedz wyraźnie czego żądasz, czy ciepłego kąta, czy stawy? Tego nie odmówi ci go-spodyni.

— Ja nie chcę żadnego kąta, ni cudzej stawy, ja chcę swojej własnej, odparł Jarema.

Trudno było wyrozumić z tej odpowiedzi, czego właściwie przybysz żądał. Niewtajemniczonym w jego położenie, wydawał się jako prosty awanturnik.

Tak też myśleli sobie wszyscy ci, co go słuchali. Interweniujący proboszcz ożwał się jeszcze:

— Mój przyjacielu, zakrawasz coś na napastnika, ale napaść nikomu tu płazem nie ujdzie. Więc radzę ci spokojnie się zachować, iść do piekarni i wyspać się do woli.

Jarema włożył czapkę na głowę i rzekł z butą, zapomniawszy unikać słów żołnierskich.

— Ja tu sem nie przyszedł po kawałek chleba. Ja chleb mam i pieniądze mam. Ja tu przyszedł po to, co mi się należy. A jeżeli mi tego nie oddadzą, to ja wiem co zrobić, gdybym nawet miał powędrować do Wiednia! Ja był w Wenedyku, Cremonie, Majlandzie; ja stał na warcie przy papieżu. Oho ho, ja wiem co to jest!

Pułkownik miał wielką ochotę machnąć ręką po tę w bakier przewieszoną czapkę, ale humorystycznie zaaplikowana chwalebna Jaremy rozśmiała i udobruchała wszystkich.

— Moi wy kochani, ożwała się wdowa, już przecież nie zechcecie mi w nocy robić awantury, a gdy jutro rano przyjdziecie, to pogadamy sobie o Wenedyku i Majlandzie, a nawet i o papieżu, jeżeli ksiądz proboszcz na to pozwoli.

— Satis, zawołał proboszcz, popychając grzecznie wszystkich do pokoju, dosyć tej rozmowy, jeżeli państwo nie chcecie wywołać jakiej awantury. Widać że ten człowiek widocznie szuka zaczepki, dodał pochichu.

Rzekłszy to zamknął drzwi do sieni i rygłem zasunął. Jarema widział drzwi zamykające się przed nim i słyszał rygiel. Krew w nim zawrzała, ścisnął pięść i krzyknął wśród burzy:

— Poczekaj! Oddasz mi dziadowiznę! Oho, ho! Stefanówka musi być moja! Wara od pustki!...

W tej chwili duży, kudłaty pies rzucił się na niego. Jarema obrócił się do niego, a widząc błyszczące jego ślipy i paszczę rozwartą:

— Hej mój mocny Boże! zawołał. I pies dworski tutaj szczeka na mnie, jakbym był dziadem, lub zawłoką. Ja, w gromadzie Nowowiejskiej dziadem, zawłoką!...

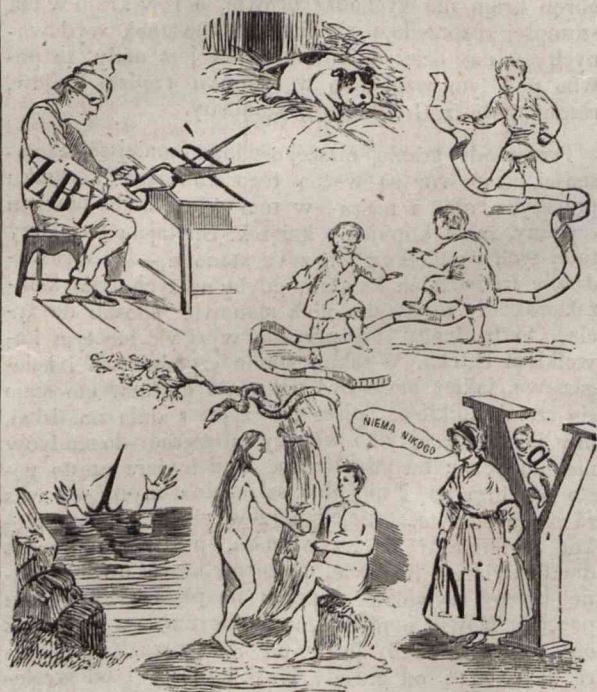
Zgrzytnął zębami, a zwróciwszy się do napastnika, zacisnął obie pięście. Jasna błyskawica oświeciła teraz twarz jego.

Straszną musiała być ta twarz, bo pies kudłaty stanął nagle jak wryty i wypatrzył się na niego. Potem zaskomlał, spuścił ogon i odszedł.

Jarema rozśmiał się szatańskim śmiechem i wolnym krokiem udał się ku piekarni. W piekarni świeciła się. Stał przed oknem i spojrzał w głąb!.

(Ob. dod).

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 193.

Kogo nie przekona słowy,
To pomoże kij dębowy.

(Dodatek).

Tam go coś ciągnęło. Widział dwóch zgrzybiałych starców i młodą jeszcze kobietę. Kobieta była do niego tylko półtwarzą obrócona. Nie mógł jej poznać. Na kominie palił się ogień. Ciepło i przyjemnie musiało być w tej izbie. Przypomniał sobie że tam za piecem miał kiedyś swoje łóże; on tam snił o różnych rzeczach, snił o kawałku gruntu i o Nastce!... A tam niedaleko było łóżko Szymka... tego Szymka, który go szczęścia pozbawił!... O gdyby on miał grunt i chałupę, wszystko poszłoby inaczej!... A jego zład wypędzono, oddano w rekruty, on cierpiał za całą gromadę! I któż temu wszystkiemu był winien?

W tej chwili krzyknęła kobieta w piekarni i zakryła sobie twarz. I obaj starcy krzyknęli z przestraszu.

Zdawało się Jaremi, że jakiś znajomy był mu ten głos kobiety... ale w tej chwili opanowało go inne, nader cierpkie uczucie. Usunął się z pod okna i pomyślał sobie:

— Ja tutaj wszystkich tylko przestraszam. Jak dziać jak lub włóczęga wałęsam się po dworze. Oho, hol inaczej to być musil!...

— O Hospody! rzekł z cicha do siebie, jakby to inaczej ze mną było, gdybym był we wsi pozostał na swoim gruncie i w swojej chałupie... i gdyby nie ten przeklęty Szymek!...

Domawiając tych słów, ujrzał odchylone drzwi stajni, z których jakieś dziwne wymykało się światło. Włożył głowę i zajrzał w głąb.

Czy to było złudzenie, czy zły duch majaczył mu przed oczyma? tego nie mógł Jarema odgadnąć. Na słomie leżało dwóch młodych parobczaków. Jeden z nich był kubek w kubek do Szymka podobny!...

Jarema odchylił więcej drzwi i stanął jak wryty. Szymek a Szymek!...

Powoli podniósł rękę do czoła i potarł nią, aby się przekonać, czy to we śnie widzi, czy na jawie!... Ale parobczak był młody... bardzo młody... a Szymek miałby już teraz najmniej lat czterdzieści!...

Oko jego potoczyło się z wolna po stajni i uśmiech piekielny zaigrał koło jego ust wykrzywionych.

W latarni, przywiązanej do słupa, dopalała się świeczka i już zaczynało tleć drewniane dno latarni. A pod słupem były pęki słomy!...

Coś szatańskiego błysło w oczach Jaremy. Przywarł szybko drzwi i śpiesznie oddalił się od stajni.

W duszy swojej usłyszał teraz jakieś dziwne głosy. Jedne i drugie mówiły naraz, ale Jarema nie mógł ich zrazu zrozumieć. Jedne popychały go naprzód, aby czempredziej ze dworu wychodził, inne ciągnęły go do stajni, do latarni przy słupie.

Wreszcie wyrozumował sobie, że to kara Boża na dwór za wszystkie krzywdy jego, że to ręka sprawiedliwości Bożej, której on nie powinien powstrzymać!... A ten parobczak tak do Szymka podobny!...

Tak myślał sobie Jarema, i coraz więcej oddalał się od zagrożonej stajni, spokojnym będąc w swoim sumieniu. Nie przyszło mu nawet do głowy, że w razie ognia całe podejrzenie spadnie na niego!...

I powoli zbliżył się znowu do okna piekarni. Spojrzał i musiało go tam coś mocno uderzyć, bo ku ścianie się potoczył i oparł rękę o wystające węgly.

W piekarni, koło małego obrazka przyklepionego na ścianie klęczała kobieta. Mogła liczyć trzydzieści sześć lat. Twarz jej była blada, włosy miała jasne i bujne. Białe ręce złożyła i oparła o stół, a duże oczy, z których łzy płynęły, wzniosła do góry i modliła się.

Jarema poznał ją—była to Nastka.

Stał chwilę przed oknem i osłupiałym patrzył w głąb wzrokiem. I jakoś miękko zaczęło mu się robić koło serca; zdawało mu się, że to serce coraz więcej rozszerza mu się w piersi... że rośnie i rośnie... i jakoś tak błogo, tak słodko, choć smutno było mu w duszy. Potem załaskotało go coś w gardle, oczy zaświerzbowały mu... a za chwilę poczuł, że mu po twarzy coś płynie!...

Ale nagle zerwał się, jakby go coś ukąsiło, i co tchu pobiegł do stajni. I przyszedł jeszcze w sam czas, bo właśnie dno latarni zaczęło się już palić małym płomykiem.

Z cicha przesunął się pomiędzy śpiącymi i zagasił ogień!... I tak jakoś lekkim powracał ze stajni, jakby mu nagle wyrosły dwa skrzydła, jakto widział u aniołów!...

I z lekkim sercem otworzył drzwi od piekarni.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł miękki głosem.

— O Jarema! zawołała kobieta, ociągając szybko oczy, przecież się nie omyliłam! Moje serce od kilku dni!...

I nie dokończyła, bo Jarema wziął ją za rękę i utopił w niej swoje duże, przenikliwe oczy.

— Czy wy za mężem? zapytał po chwili, patrząc na czepiec na jej głowie.

— Nie, wyszepnęła z cicha kobieta, a głos jej drżał czegoś, jestem wdową!

— Po... zaczął Jarema, ale imienia Szymka nie mógł w tej chwili wymówić.

— Po Walentym, dokończyła prędko kobieta.

Jarema odetchnął pełną piersią.

— A cóż to za parobczaki śpią tam w stajni? zapytał po chwili Jarema.

— To Szymek i Walek—moi synowie, odparła kobieta, a głos jej drżał jeszcze więcej.

— Z pierwszego małżeństwa? podjął szybko Jarema.

— Ja tylko raz ślub brałam, wyszepnęła kobieta i przyłożyła szybko fartuszek do oczu, bo cały potok łez cisnął się tam teraz.

Jarema stał chwilę przed nią i wpatrywał się w nią jak w tęczę. Potem odstąpił kilka kroków, wyjął z zanadru węzełek z cwancygierami i dukatami i rzekł do kobiety:

— Słuchajcie Nastko! Tu są pieniądze. Weźcie je i schowajcie mi do swojej skrzynki. Ja mam tutaj różne sprawy, gotówem zgubić. Dobranoc wam, pojedę spać do karczmy.

I wyszedł szybko z piekarni, a gdy spojrzał do góry, ujrzał jasne, wypogodzone niebo, z którego mrukały do niego małe, błyszczące gwiazdeczki!... A było tak jakoś słodko, tak błogo!... I jakoś niemilo mu było, gdy przed karczmą spotkał suchego mecenasa i dawnego swego przyjaciela o troistym nosie. I nie mógł się pozbyć jakiegoś nieprzyjemnego uczucia nawet wtedy, gdy już wszyscy razem do karczmy wrócili, a rudy łeczek flaszkę wódki przed nim postawił.

X.

Różne nadzieje.

Takim był pierwszy dzień Jaremy, gdy po dwudziestu latach wrócił napowrót do swojej wioski rodzinnej. Do wyobrażeń, jakie był z sobą przyniósł, przybyło jeszcze coś na miejscu, co go nietylko w tych wyobrażeniach utwierdziło, ale nawet rozwinęło je w daleko szersze rozmiary. Był już wprawdzie z góry uprzedzony i napojony żółcią przeciw dworowi, a to o czym w karczmie dowiedział się i przyjęcie jakiego we dworze doznał, spotęgowało tylko w nim ten antagonizm i popchnęło go do tém raźniejszych kroków.

Miał jednak epizodzik, który zaszedł w piekarni, a którego wcale nie spodziewał się Jarema, zagroził nagle wszelkim jego planom. I kto wie co by się było stało, gdyby fatalna ręka mniemanych jego przyjaciół nie była prędko zatarła tego wrażenia, jakie w tej chwili rozszczyło mu serce, załem do dworu dotąd ściśnięte. Kto wie czy wspomnienie chwil młodych i widok kobiety, której obraz zasklepił się jak perła w muszli w duszy jego, nie były zneutralizowały onej żółci, którą go tak długo pojono!... Nastka mogłaby choć pod wieczór życia zostać jego żoną, dziedziczka mogłaby bez procesów dać pustkę po Stefanie i jeszcze czémś zapomódz, a Jarema byłby szczęśliwy i w szczęściu swoim inaczej zapatrywałby się na mniemane krzywdy, jakich gromada od dworu doznał!...

Ale Jarema za wiele cierpiał i doświadczył, za wiele nasłuchał się w ciągu tych lat dwudziestu, aby mógł zastanowić się nad tą chwilową zmianą, jaka w nim zaszła od zagaszenia latarki w stajni, aż do wydania Nastce węzełka z cwancygierami. Wprawdzie było mu w tych kilku chwilach tak błogo koło serca, kroki jego były tak lekkie, jakby u ramion miał dwa skrzydła, które człowieka w anioła zamieniają!... Ale w ciągu lat dwudziestu nabyte wyobrażenia przemogły nad budzącym się uczuciem, które jak meteor błysnęło po ciemni jego serca, dowodząc że tam był grunt piękny i szlachetny i że tylko zamuliły go fatalne okoliczności, pod jakimi wzrósł ten człowiek.

I gdyby nawet światło tego meteora dłużej świecić chciało, towarzystwo mniemanych Jaremy przyjaciół i spora flaszką wódki, przy której toczyła się narada, zagasiłyby wszystko do szczeru.

Suchy mecenas zapewnił go, że pustki po Stefanie żadną inną drogą od dworu nie odbierze, jak tylko drogą procesu, i napominał go, aby się strzegł wszelkich układów. Huber znów coś mu wiele mówił o starości, który bardzo mu sprzyja.

Jarema przyjmował te rady z uśmiechem. Przypadały one wprawdzie do jego gustu, ale w obec planów Jaremy były zbyt drobne i karłowate. On przeszedł Austrią od krańca do krańca, a cały ten ogrom obszaru, ludzi i wypadków wpakował mu się do mózgu i rozpiętał mu nieustannie głowę, która tego

wszystkiego należycie pomieścić nie mogła. Dlatego miał on o sobie daleko większe wyobrażenie, jak to jego przyjaciele sądzić mogli, a gdy mu ci o starości i o procesie mówili, on myślał o Wiedniu i o ministrze, o którym miał wyobrażenie, że z dużą, w srebro okutą laską stoi przed pałacem monarchy.

Mimo to podziękował radzącym przyjaciółom i przyrzekł im, że w danym razie z oświadczeń ich korzystać będzie.

A kiedy już sporo po północy kładł się na ławkę, aby się trochę przespać, przed jego oczyma biegały różne rzeczy; ale żadna jednak z nich nie napoiła jego serca tak błogiem uczuciem, jakiego był doznał po zgaszeniu latarki w stajni!...

Lecz gdyby nawet i wspomnienie tego szczęścia było go trochę niepokoiło, jutrzejszy dzień byłby wszystkim do reszty zatarł.

We dworze bowiem dla jego sprawy nienajlepsze było usposobienie. Zaraz przy śniadaniu zaczęto mówić o tej sprawie. Zgromadzenie było to samo co i wczoraj; burza bowiem nie dała gościom wczoraj odejść, a pani Nowowiejska zbyt ściśle przestrzegła gościnnych domu swego tradycyją, aby gości w domu swoim na czas dłuższy nie zatrzymać.

Toż kiedy przy rannej kawie wszyscy się zeszli, (przyczem nadmienić musimy że Jadwiga w neglizjku przesłicznie wyglądała), nie mówiono o niczem innym, tylko o wczorajszej dziwnej awanturze, jaką był wyprawil Jarema. I wszystkim wydała się dziwną, bo właśnie tej samej godziny, kiedy pustki miały przejść na innego właściciela, zjawił się w oknie dworu niewiadomy dotąd pretendent i założył swój protest!...

Wdowa posmutniała, gdy sobie całą tę scenę przypomniała. Była to w jej oczach jakaś niedobra wróżba dla Jadwigi, która coraz widoczniej okazywała Władysławowi przychylność swoją. Chcąc więc przeczuwane jakieś nieszczęście jaknajtaniej okupić, a wreszcie i słusznym może żądaniom Jaremy zadość uczynić, postanowiła oddać mu tę pustkę po Stefanie, bez wszelkich procesów, do których miała wstąpić bardzo słuszny.

Sprzeciwili się jednak takiemu doraźnemu załatwieniu sprawy pułkownik i proboszcz, a każdy z innego stanowiska.

Pułkownikowi psuła ta sprawa wszystkie jego możliwe skombinowane plany. Los biednej wdowy od dawna leżał mu na sercu. Również myślał i o Jadwidze, której był chrestnym ojcem. Trafiła mu się potem sposobność. Jego kuzynek, pan Władysław, odziedziczył po rodzicach dwa tysiące czerwonych złotych. Włożywszy ten kapitalik w zaniedbaną nieco kobięcą gospodarstwem Nowawieś, możnaby ją było podnieść do ładnej fortunki. Ale on wiedział doskonale, ile na niewyjaśnionych wzajemnie stosunkach cierpią zwykłe uczucia najszlachetniejsze. Zresztą nie chciał aby Władysław przyszedł do tak zwanej fartuszkowej fortuny. Niemniej wiedział także doskonale o stanie finansowym wdowy i przewidział, że oświadczenie się pana Władysława nabawiłoby ją w tej chwili niesłychanego kłopotu.

Skombinował więc plany swoje w ten sposób: najprzód miał pan Władysław wystąpić jako kupujący tak zwane pustki. Tym sposobem przyszedłby już de facto do części Nowejwsi, co w oczach świata, bodaj dla formy, już coś znaczy. Powtóre, tym sposobem zbliżyłby pana Władysława do Jadwigi i zostawiłby im wolne pole do przekonania się wzajem o swoich sympatyach i charakterach. Małżeństwu bowiem zawierany prędko, pod pierwszym wrażeniem wzburzonych nerwów, niewiele ufał doświadczony pułkownik, który niegdyś miał czarne wąsy i czarna czuprynę, a w ogrodzie Saskim uchodził za najprzystojniejszego oficera polskiego.

Prócz tego miał jeszcze i to na uwadze pułkownik, że młody człowiek powinien wprzód złożyć egzamen z pracy swojej, a że te pustki znaczny kawał gruntu stanowiły, więc uprawa ich podniosłaby wartość całego potem wspólnego majątku.

Wchodziło i to w jego plany, aby biedna wdowa, dla ratowania się, dostała do rąk jakąś sumkę.

Tak to wszystko mądrze i porządnie ułożył sobie w głowie stary pułkownik, a że był z natury impetyk i najbardziej gniewał się o to, gdy mu kto w planach jego przeszkadzał, to sprawa Jaremy o pustkę po Stefanie nienajlepszego miała w nim obronę. Zaraz z góry zapęrzył się i cały akt Jaremy nazwał rozbojem, zamachem na własność dominiálną, prostą nooną awanturą. Był zdania, że Jaremy nie należy wcale do dworu przypuszczać, a nawet go psami wyszczuć, gdyby z ganku ustąpić nie chciał. O prawniczej stronie tej sprawy nie miał pułkownik żadnego wyobrażenia. Nie znał praw i nigdy nie chciał się z nimi zapoznawać. Wprost więc oświadczył się przeciw uroszczeniom Jaremy, a kładąc na

stół cenę kupna, chciał wszelkie do tych pustek możliwe pretensje wziąć na siebie.

Inaczej o tej sprawie sędził ksiądz proboszcz. Zażywszy tabaczkę, rzekł do pułkownika wadzącego się z wdową:

— Wadzicie się państwo między sobą, ale widzę, że nie zapatrujecie się na tę sprawę z wyższego nieco stanowiska. U nas nadewszystko powinno górować stanowisko obywatelskie, a nie prywatne. Jarema więc zaprzeczać nie należy pretensji do pustki, i to mu się w oczy powie, ale dla formalności potrzeba aby pretensje jego były urzędownie sprawdzone. I tak, nie wie pani dobrodziejka, czy ta pustka r. 1820 była zapisana jako grunt dominialny i czy nie podano jej do indemnizacji jako grunt rustykalny. Do tego potrzeba prawnika, a tak w jednej chwili nie można tej sprawy rozstrzygnąć. Jarema wypadaloby dać tymczasem jaki zarobek przy dworze, jeżeli nie ma żyć za co.

Zdanie to księdza proboszcza przyjętem zostało po niejaki dyskusji, chociaż wdowa mocno obstawała przy doraźnym załatwieniu tej sprawy, zwłaszcza że grunt tej pustki należał do najlichszej gleby w całej Nowejwsi i dlatego nigdy obsadzonym być nie mógł. Nie opierając się jednak wyrokowi proboszcza, z wyższego stanowiska oblatowanemu, zgodziła się na odwołanie tej sprawy do urzędowego rozsądzenia.

Jarema spodziewał się takiej uchwały, tylko o jej motywach nie miał pojęcia. On wiedział najprzód, że dwór krzywdzi gromadę i dobrowolnie nie odda, lecz to go wcale nie niepokoiło.

Ale Jarema i ci co go tego wyuczili, widzieli tylko dwa kroki naprzód, a o dalszą przyszłość nie dbali. Więc ucieszyło Jarema, że gromada, która, mówiąc nawiasem, powzięła o przyniesionych przez niego skarbach zbyt wygórowane wyobrażenie, przyklasnęła jego żądaniom i wszystkimi siłami w tym go popierała.

Jarema ubrał się w nowy kaputrok i w nową żołnierską czapkę. Na lewym boku zawiesił medal, który otrzymał za okazane we Włoszech męstwo. Wszyscy chłopcy (prócz wójta) patrzyli z uwielbieniem na szerokie jego barki, na zdrowy wyraz twarzy i na tę pewność, jaką objawiał we wszystkich swoich ruchach i słowach. Cieszyliby się jeszcze więcej, gdyby Jarema był takim chłopcem jak oni, gdyby ten kaputrok zmienił na siermięgę, a czapkę na kapeluszy słomiany.

Ale Jarema miał inne plany. Zaraz po mszy świętej wyruszył w podróż do starosty.

Starosta cieszył się Jarema, gdy go poznał. Położył mu rękę na ramieniu, oglądał srebrny medal i długo bardzo łaskawie z nim rozmawiał. Sprawę jego o pustkę wysłuchał łaskawie i przyrzekł, że ją natychmiast odda w ręce właściwe. A gdy go serdecznie za rękę uściśkał i drzwi za nim zamknął, rzekł do kommissarza:

— Ten Jarema, to jedno z potrzebnych nam indywiduów. Taki człowiek w gromadzie wiele przyczynia się do rozszerzenia wyobrażeń porządku. Był w wojsku i nauczył się, że wszystkie członki w jednym organizmie, muszą jednej wspólnej słuchać władzy. A tego potrzeba tutejszym gromadom. U nich najdziwniejsze pojawiają się wyobrażenia. Cóż kiedy niema ludzi z jaką taką oświatą w gromadzie! Pamiętaj pan, jeżeli będziesz w Nowejwsi, nie zapomnieć o tym Jaremie. Trzeba go wyforytować na wójta. Umie czytać i pisać, a rząd będzie w nim miał wiernego wykonawcę ustaw krajowych.

Tak mówił starosta, a kommissarz potakiwał głową, że się we wszystkim zgadza z swoim pryncypałem.

A Jarema lekkim krokiem dążył do wioski rodzinnej, przeczując że go tam oczekują szczęście i zaszczyty.

(Dalszy ciąg nastąpi).

URWANA POWIASTKA

przez

BOGUMIŁA ASPISA.

Pan Ignacy był sobie człowiek.. ot tak sobie. Ni zły, ni też zbyt dobry—jako dużo ludzi. Na tym tu naszym pięknym, arcypięknym globie. Wiedział że człek się poci, gdy się bardzo trzusi. Więc się nie trzusił;—wiedział że uczucia nasze Często nas zwodzą—zatem czuł nadzwyczaj mało; Zajadał sobie zrazy i hreczaną kaszę, Spał za dwóch, pił za czterech—dobrze mu się działo! Zdrów był jak ryba, tłusty jak pączek smażony, Rumiany jak cebula, wesół że daj Boże, Szczęśliwy w kartach, synek fortuny pieśczoney, Miał pieniądze, i któż mu niezazdrościć może?

Miał żonę młodą, grzeczną, jak anioł poczciwą, Kobiętę wychowaną bogato, starannie, Piękną.. mówiono niby że jest nieszczęśliwą Z panem Ignacym, ale.. nigdy staręj pannie Wierzyć nie trzeba, kiedy o małżeństwie sądzi, A właśnie ta co straszna tę plotkę rozsiała Była nią.—Zresztą.. w świecie któż kiedy nie błądzi? I panna Petronela, choć się przyglądała Okiem siostry pożyczu pana Ignacego, Mogła się mylić, mogła wnioskować z pozoru, Albo mogła ze źródła czerpać fałszywego, Czyniąc to w końcu może ze złego humoru, Z usposobienia tylko jakiegoś.. Ja znałem Sam obojga Ignacych i powiadam szczerze, Iż szczęśliwszych małżonków nigdy nie widziałem,— Co zresztą sam czytelnik najlepiej rozberze, Gdy mu opiszę tydzień przepędzony w domu Tego stadła—ba! tylko.. honorowe słowo, Że o tém ani słówka nikomu, nikomu— Toć za takie historie przyplaca się głową..

* * *

Najpierw wstęp. Otóż drodzy, wyobraźcie sobie Karego konia, z czystej ukraińskiej rasy, W całym swym blasku, w całej swej końskiej ozdobie, Pędzącego przez góry, przez rowy i lasy, Z jeźdźcem na grzbiecie—nie tak!—pierwej jeszcze

[z siodłem, A następnie już z jeźdźcem na siodle... ..Więc ran- [kiem— Wśród burzy, trzasku gromów.. nie, trochę was zwio- [dłem,

Bo cicho było wtedy—ale zawsze rankiem, Wśród szmeru tajemnego niebotycznych lasów, Skał.. nie—kamieni, ruin.. nie, i tych nie było— Pędzącego do państwa Ignacych—do Basów— (Nazwa majątku w którym nasze stadło żyło) Pędzącego, mknącego, lecącego cwałem, W czapce na głowie, w rękę z dużym harapnikiem, W butach na nogach, z torbą i przyrządem całym Podróżnego, co chce się wspólnie z nieboszczykiem Don Kiszotem, lub innym jakim kawalerem, Dorobić sławy swojemu niedbanemu o jutro, Odwagą, męstwem.. słowem chce być bohaterem! Różnica naturalnie w tém, że tu się futro Nosi już od jesieni i jak Kiszot nago Można przepędzić tylko parę dni wśród lata, Nigdy kilka tygodni jak on—lecz odwagą Równym Kiszocie—jestem Polakiem u katal Jestem, mówię, bo pewności się domyśliłi Zaraz już na początku, że owym rycerzem W butach tych, w czapce, mknącym w cwał w tak [rannęj chwili,

Byłem ja, że to zwierzę było mojem zwierzem I siodło owo mojem siodłem—tylko mojem! Otóż gdyście to wszystko już wyobrazili W fantazji sobie, gdyście mnie już z całym strojem I z koniem obejrżeli, mogę o pół mili, O milę nawet jaką powieść mą przyspieszyć I wprowadzić was przedęj niżli zamierzałem Na dwór państwa Ignacych, mogę was pocieszyć I oświadczyć wam, że..... już do nich przyjechałem. Dwór—jak dwór zwykle, z drzewa, ale w nim sze- [roko,

Obywatelsko, miejsca nie braknie nikomu; Wszędzie gdzie tylko spojrzysz, gdzie zajrzy twe oko, Czujesz żeś jest w szlacheckim, staropolskim domu, Że pan ma antenatów—ze.. tłusty być musi, Że czuprynę przyszyrzyga ze szwedzka, że winem Gardło się tutaj twoje odoi, okrzusi, Że nie spotkasz się tutaj z anglosaskim splinem, Ani z germańską pipką, ale—jak Bóg niby Zalecił od początku świata—z Polakami; Znajdziesz barszczyk i bigos i smażone grzyby, I będziesz jadł hreczaną kaszę ze zrazami. Dobrze to—aleć może to wszystko marzenia, Fantazje może tylko—bo.. od półgodziny Czekam już, a tu ani—ani drzwi skrzyknięcia, Ani mrum nawet. Czy tu jaki zwyczaj inny W przyjęciu gości? czy tu u licha nie wiedzą Że pan dawniej do gościa sam pierwszy wychodził, Że.. hal siądę i ja też, kiedy oni siedzą, Pomarzę sobie, rzekłem—człek się nie narodził Dopiero i ma o czym sam z sobą pogadać. I usiadłem... i wodzę okiem po koinnacie, I myśl do myśli zwolna zaczynam układać, Wiązać je, to znów zrywać—jak to i wy macie Zwyczaj zapewne, gdyście obcy w jakim domu, Gdzie gospodarz na wasze nie wyjdzie spotkanie, I gdzieście jeszcze cudzy, nieznanzi nikomu. Zamyśliłem się tedy—myślę—dumam—marzę— Mary wirują pędem po mej mózgownicy, Buzują w duszy, jako woda w samowarze— O tém, to znów o owém—o mojej ziemi,

O jej panach i kmieciach, o chatach i dworach, I jaką była niegdyś, i jaką jest dzisiaj, Tandem.. o swęj przeszłości—tandem o amarach, I tandem—czy mi wierna jest jeszcze Ludwisia? I tandem—że przesliczną w one czasy była, I tandem—czy ją jeszcze znajdę takąż samą? Tandem—czy się w affektach swych nie odmieniła? Czy panną jeszcze dotąd, czy może już mamą? I tak dalej a dalej wracam aż do chaty Rodzinnej, aż do latek najpięrszych dziecinnych, Kiedy mi jeszcze pijar codzień sypał baty Za terra est rotundus i tłum rzeczy innych! Aż tu... lekkie kasznięcie słyszę po za drzwiami— Ale, powtarzam, lekkie, a głos jego słodki Jak głos słowika, kiedy drży między krzewami, Lub nie—jak głos pieśczonej, pokojowej kotki. Słyszę—i słuch wyteżam—i obracam oczy W stronę, z kąd takie śliczne kasznięcia wychodzą, I czekam że tam piękność mnie jakaś omroczy, Że setki nowych uczuć w mém sercu się zrodzą. Czekam—czekam—drzwi lekko skrzypnęły, i owol Zgadnijcie co z nich oczom mym się ukazuje? Dama lat pięćdziesięciu—z podwiązaną głową, W okularach na nosie.. na młodość choruje Snaż jednak, bo sznurówka opięta starannie, I buzią jakoś kręci tak mile, tak słodko, Jak to przystoi tylko—bardzo młodej pannie. Gwałtem chciałoby ci się znów ją zrównać z kotką. Ukłon głową—cofniecie się w tył i dyg niski,— Z mojej strony porwanie się z krzestą i złim Szurgnięcie takie nogą, zem gdy parkiet ślizki Był, ledwie tego nie przyplacił gnatem,— Oto były, jak mówią, fakta jednej chwili. Niedarmośmy oboje z panną Petronelą (To była ona! ona!) byli młodzi, rażni, Z niewielką czeremonij, z oświadczeń niewielką Byliśmy w moment z sobą już całkiem przyjaźni. Ona mnie tuż na wstępie zaraz przeprosiła Najgrzeczniej, że tak długo sam jeden czekałem; Mnie to się podobało, zatem by nie była W pretensji, z pewną gracją jej odpowiedziałem, Że nie żałuję czasu jakim przewartowałem, Kiedy poznaję teraz tak miłą personę; Następnie: czy gospodarz się w domu znajdował? Czy żonaty? i tandem czy ma młodą żonę? Czy ma dzieci? spytałem—na co: „u nas niema „Dziatek“, rzekła że wstydem panna Petronela, Ale że pani zato wielu piesków trzyma, Że.. pani ma w sąsiedzie jednym przyjacielą, Że.. z nim właśnie wybrała się na polowanie, Że.. pan do koni poszedł, że te bardzo kocha... I tak kiedyś snuł jedno po po drugiem pytanie, A panna Petronela nie milkła ni trocha, Dowiedziałem się jeszcze drobnotek tysiące, Z których sobiem poczynił różne, różne wnioski. Na przykład: że... że pani ma—serce gorące, Że... dobrze żyje z mężem, że... ma przytém troski Drobne, które... lecz naco nam tak odgadywać, Kiedy można się bliżej przypatrzeć wszystkiemu? Na co tak bieg zwyczajny wypadków przerywać, Gdy lepij jest je wysnuć zwolna, po jednemu? Otóż tedy kiedyśmy już tacy sensaci I tacy po germańsku fein-systematyczni, A księgarz nam z osobna za każdy wiersz płaci, Więc żeby było wszystko jak można najśliczniej, Więcej grosza w kieszeni i wagi w powieści, Nie żałujmy papieru, a ciągnąc powoli, Rozwlekł, długo bazgrzmy, skrobmy co się zmieści— Czytelnik nam licencji wszak takiej dozwoli... Potrafimy my także, gdy sen go już zmorzy, Kiedy ziewać już pocznie, wyciąć mu takiego Figla tutaj, że aż się od śmiechu rozłoży, Aż będzie krzycał: „dość, dość, do Boga wielkiego!“ Prawda, prawda to wszystko—dalibóg nie kłamie!.. Tylko widzicie, drodzy, z drugiej znowu strony Namyslałem się i—może przysięgę swą złamię. Jestem człowiek—kawaler, a że pragnę żony, Więc muszę być w swęj mowie ostrożny.—Broń Chryste! Przeczyta mama panny mojej o kobiecie, Co mając męża w związku wstąpiła (choć czyste!) Z młodym człowiekiem, (rzeczy dozwolone przeciel!) Co miasto dzieci, miała precudowne pieski, Była taką, owaką!.. a jeżeli mama Tej panny mojej będzie takie same grzeszki Miała, jeżeli właśnie będzie taka sama?— Zginałem!.. a gdy znowu która z dobrych ciotek, Czytając wiész o ślicznej pannie Petroneli I mając jako tamta minkę a la kotek I lat pięćdziesiąt, pełno, pełno przyjacieli I adonisów, powie że ją kalomniuje, Że to ją mam na myśli i swęj siostrzenicy Nie pozwoli iść za mnie,—znów zgine, zwaryuje! A jeśli gdzie na naszej obszernej ziemi Znajdzie się obywatel a la pan Ignacy,

Równie tłusty, rumiany, spulchły od pszenicy,
Lubiący konie, bydło, (a muszą być tacy),
Powiędź znowu żem oszczerca i córce swój powiędź,
By mi dała odkosza,—ta mi się rozśmiej
Wśród oświadczyń i mnie się znowu przewróci w głowie,
I ja z rozpaczki umrę, lub też oszaleję!..
Nie! nie! nie! lepiej milczeć przy takiej obawie,
Stokroć lepiej! A w końcu, gdy mam wyznać szczerze,
Bo w duszy się nigdy, przynigdy nie bawię.
I w waszą powściągliwość nie zanadto wierzę,
Kochani czytelnicy!—wszak macie języki
I gaduły jesteście i możecie czasem
Wygadać co nie trzeba, a na mnie krzyżki
Spadną potem, nie na was zato—więc nawiasem
Szeptem wam tylko jeszcze zdań moralnych parę,
Które miały stanowić cel mojej powieści,
A które wam wypowiem jako słuszną karę
Teraz już za ciekawość, i gdy rzecz się zmieści
W ki'ku słowach, to chociaż rozwlec ją okrutnie
Z zyskiem byłoby moim nawet,—z owęj racji,
Którą nadmienię,..... na tych kilku słowach
I was pożegnaj. Owóż z mojej kalkulacji
Wynika to, że myśmy, dzieci Polski starzej,
Błądzili, chcąc w złem tylko wstępować w jej ślady,
Przymijając po niej chętnie błędy i przywary,
W słabościach przedrzędnając tylko nasze dziady;
Niepomni enót ich wielkich, wzięliśmy pozory
Od nich tylko i jedząc i pijąc jak oni,
Mówiliśmy że bierzem z nich do życia wzory.
W zapale polonizmu od stariej Polonji
Przyjęliśmy rozpustę, kastowość i grzechy,
Co ją zgubiły, enoty jej stawiając odłogiem,
Bo przy nich trzeba było rzucić uczty, śmiechy,
A zapoznać się z pracą, ze światłem i z Bogiem!..
Pan Ignacy był Polak, Polak z antenatów,
Bo pił i jadł po polsku, bo strzegł herbu swego
Jak zrenicy, czuprynę nosił z szwedzka, batów
Był przyjacielem.—Polką była jego żona,
Bo stroiła się w złoto, w tyfty i atlasy,
Bo w pierścieniach jej była książęca korona,
Bo nosiła fryzurę à la dawne czasy.
I panna Petronela Polką także była,
Bo dygała, jak panny dygały za Sasów,
—I jako tamte panny kółczyki nosiła.
I ja starym Polakiem jestem, bom do Basów
Przyjechał na diabelskim koniu, z butną miną,
W czapce na bakier, często mówię: *tandem*, wreszcie....
Bo tak samo pojadę jeszcze w stronę inną.
Chcecie, to i wy za mną w tę stronę pobieście,
Wprowadzając was do świata zupełnie innego,
Zobaczycie, że inny nas tam duch przywita,
Zobaczycie, że Bóg nas od grzechu wielkiego
Już uwolnił, że... ale tu kończę—i kwita!

Stanisław Koniecpolski

HETMAN WIELKI KORONNY.

(Dokończenie).

Tymczasem w Polsce król zwołał sejm na początku listopada r. 1620. Do grodu wielkiego znowu wsadzony surrogator „pod niebytność“ Koniecpolskiego; przyznano hetmanowi także nietykalność co do wszelkich wyroków, jakiego na niego podczas niewoli w którymkolwiek sądzie mogły wypaść. Zresztą według obyczaju staropolskiego nie sądził sejm, żeby ta niewola długo się przeciągnęła, bo surrogatorowi pomknięto do sądów czasu tylko do przyszłego sejmiku. (Vol. legum III 377 i 381.)

Pod koniec sejmiku król nie wiedział co zrobić z urzędami po Żółkiewskim, jakim je miał rozdać panom koronnym, a najwięcej namyślał się względem buławy. Nie była jeszcze wtenczas zbyt jasną w oczach narodu i władzy ta instytucja narodowego hetmanstwa. Miałoby być to hetmanstwo dożywotniem, czy chwilowem? mogłoby je kilku naraz piastować? jaki był stosunek polnego hetmana do wielkiego? jaki właściwie był urząd i tytuł obudwu hetmanów? byłoby to dwie udzielne, niepodległe względem siebie władze, czy jedna ustopniowana? o tym wszystkiem prawo milczało, a sam wypadek rozstrzygał zasadę. W r. 1620, po klęsce pod Cecorą, nie było hetmanów w Polsce, a jednak Polska potrzebowała hetmanstwa. Dlatego na sejmie powstawały różne skrupuły i narady. Utrzymywali jedni, że Koniecpolskiemu należała się buława wielka po starszeństwie i że król nie może, nie powinien mianować innego hetmana po Żółkiewskim. Polną tylko mogłoby oddać komu po Koniecpolskim. Jakże hetmana karać można za to, że walczył za ojczyznę i że nosi za nią więzy? Jeżeli wróci do kraju, może młodszemu od siebie podlegać? Utrzymywali inni, że wakuje obiedwie buławy, bo jeden hetman poległ, a drugi dostał się w niewolę. Niema tu prawa osób, gdzie jasne jest prawo rzpltej, która

potrzebuje obrony. Na tej zasadzie kilku panów zaczęło się ubiegać o buławę po Żółkiewskim: książe Krzysztof Zbarański, Tomasz Zamojski, Stanisław Lubomirski. Król zwykle nie spieszył się z rozdawaniem takich urzędów jak hetmaństwo. Po Zamojskim lat dziesięć wakowała posada, mogła więc i teraz wakuwać. Lecz silnie napięrali panowie, i król, „myślami rozdartniony, radził się ministrów i senatorów celniejszych, komu oddać hetmaństwo; ale senatorowie oglądali się na sąd Parysa o złote jabłko,“ nie chcąc żadnego z panów urazić, zwłaszcza w takiej nawałności wojny tureckiej na rzplta. Gdy zaś poprzednie księcia Zbarańskiego ominęło jeszcze podkanclerstwo, senatorowie zważali na nieukontentowanie dumy i nie odważyli się nikogo królowi wskazać po nazwisku, dobrej woli pana wszystko zostawując. Wziął sobie to Zygmuntdo namysłu, zawiesiwszy w nadziei wszystkich współzawodników do buławy, zwłaszcza gdy kolligacji, krewni i przyjaciele Koniecpolskiego gorące prośby zanosili, ażeby się wstrzymał z nominacją, dopóki hetman polny w niewoli. Króla najwięcej trapiła groźna wojna turecka. Jeden tylko Chodkiewicz, żołnierz stary, mógł wtedy zastąpić rzplta; gdyby zaś kto został hetmanem koronnym, nie ustąpiłby dowództwa Chodkiewiczowi. Te wszystkie okoliczności spowodowały, że król hetmana po Żółkiewskim nie nominował, a sejm Chodkiewiczowi zdał tymczasowo dowództwo wojsk całej rzpltej. (Pamiętniki do panowania Zygmunta III i t. d. tom I str. 83—84.)

Już się nasi ucięrali z Turkami pod Chocimem na lato 1621 r., kiedy król nowy sejm złożył ku temu, żeby opisać porządek pospolitego ruszenia województw na wojnę. Koniecpolskiemu na tym sejmie jeszcze przedłożono nieco czas surrogacji wielunijskiej, którą sprawował Samuel Jawornicki „do sejmiku blisko przyszłego, abo do szczęśliwego zwrócenia się starosty.“ (Vol. leg. III 427.)

Po śmierci Chodkiewicza, jeden ze współzawodników do buławy, Lubomirski, dowodził w obozie pod Chocimem, jako hetman polny, a drugi, Krzysztof Zbarański, jechał po układach do Turcyi na utwierdzenie pokoju. Było to już po zabicu Osmana, a za nowego panowania Mustafy. Mehmet Dźiwodzi wezyr chciał powtórnie zanieść do Polski wojnę; ale książe Zbarański wielkimi podarunkami ujął janczar-agę, paszów rządowych w Stambule i samą matkę sultana, usunął Mehmeta, a Hussejną-baszę osadził na wezyrostwie. Łatwiej z nim było wieść i układy pokojowe, i wykupić więźniów.

Słudzy hetmana Koniecpolskiego, co z księciem Zbarańskim do Stambułu przyjechali, Kawiecki i Włodek, głównie traktowali o wyswobodzenie pana swego przez posła Betlem Gabora. Stańdo na 30,000 talarach i t. d. (Przylęcki str. 473.)

Wracał tedy poseł z jeńcami polskimi na węgierską ziemię prosto ze Stambułu, ale pośpieszał, bo miał na baczeniu sztuki Betlem Gabora.

Prędko w dobrém zdrowiu stanął hetman w Krakowie, a potem w Koniecpolu przed samą wielkanocą r. 1623. Z wielką radością dowiedzieli się o tem Sieradzanie. Zygmuntd Koniecpolski, konia dosiadłszy, zaraz biegał do hetmana i powitał go w poniedziałek świąteczny. Ale pilno było hetmanowi do obozu. Więc ledwie dni kilkanaście w Koniecpolu zabawiwszy, zabrał się ze Stanisławem Bykowskim, wojewodą sieradzkim i jechał do Prus, gdzie znajdował się król, zajęty wojną z Gustawem Adolfem. Mile król przyjął hetmana i dowództwo wojska mu oddał, które dotąd sprawował ciągle Lubomirski, jako hetman polny. Gdy po Żółkiewskim buławy nikt nie dostał, Koniecpolski był nad całym wojskiem koronnym jedynym hetmanem.

Pierwój jednak z Tatarami jak ze Szwedami przychodziło się ucięrać Koniecpolskiemu, bo od strony północnej trwał chwilowe zawieszenie broni. Jeszcze w r. 1623 uganiał się za Tatarami, ścigał ich na Rusi. Teofila Szemberka posyłał do Krakowa, żeby mu sprzedało miasto 20 centnarów prochu; 23 października donosił królowi z Babina, że poseł krymski jechał z zaprzysiężonemi paktami. (Ambr. Grabowski Dawne zabytki str. 235 i Źródła do dziejów M. Grabowskiego t. I.)

Pomimo to wybierał się na lato r. 1624 Kantemir na Ruś „z niemają kupą.“ Kiedy wyruszył z Budziaków i przez kraje wołoskie szedł, hetman, który na niego czujnie miał oko w Barze, natychmiast rozesłał uniwersały po grodach podolskich, bełżkich i ruskich, aż do samego Biecza i Przemyśla, do obywateli ukraińskich, do rotmistrzów; szlachtę zachęcał do służby rzpltej, hussarzom polecał bez kopij, we zbrojach i z muszkietami tylko, żeby lżej było, gromadzić się ku Kamieńcowi na Tatarzyszcach. Sam ze swoją chorągwią hussarską, z piechotą własną, wyszedł z Ba-

ru do Wonikowic, a potem do Zinkowa wstąpił umyślnie, prosząc do towarzystwa Sieniawskiego chorążego koronnego. Trzeciego dnia już był na Tatarzyszcach, ale dla braku paszy i niedogodności innych, pomknął się o milę ztamtąd na Gorczyczany. Chciał Kantemir zażyć fortelu, kraje potrwożyć i potem nagle uderzyć na ubezpieczonych ludzi, a hetman owszém spodziewał się że Kantemir najprzód pomyśli o stoczeniu boju z wojskiem, a potem rozsypie się po łanach podolskich. Nie był jednakże Kantemir łakomy tyle stawy co zdobyczy: pominawszy hetmana, poszedł prosto na Pokucie. Ale trudno było podejść Koniecpolskiego; wiedział hetman o wszystkich noclegach nieprzyjaciela, bo wysłał podjazd we 200 koni pod Odrzywolskim, który miał wrogów na oku; dokładne zbierał wiadomości o wszystkich jego poruszeniach.

Miał Koniecpolski w Gorczyczanach z półtora tysiąca ludzi, a mimo to chciał gonić Kantemira; radził mu wszysey, żeby lepiej czekał skupienia się większej siły wojska. Ale nie wytrzymał długo; ledwie 2000 ludzi zebrał w obozie i już w pochód ruszył przez Dunajgród, mimo Czartków, Buczac i Podhajce. Po drodze kupili się do niego kwarciani i ochotnika ruskiego dosyć. (w początkach czerwca 1624 r.)

Kantemir, Dniestr pod Martynowem przebywszy, obok Stryja pociągnął pod Przemyśl. Hetmanowi nie brakło odwagi postępować „w kopyto“ za pogaństwem i podczas rozpuszczenia zagonów kosz znosić, a potem pojedyncze gromić oddziały; ale ociągać się musiał na nowe posiłki. Nie doczekał się ich, gdy Tatarowie już zawracali do Krymu. Pomknął się hetman pod Świstelniki, trzy dni tam zabawił, aż Odrzywolski dał znać, że nieprzyjaciel tym samym szlakiem powraca, którym szedł naprzód. Hetman postanowił stanąć mu w oczy i na przeprawie przez Dniestr pod Martynowem, stanął umyślnie ścięsnionym taborem, o dwie mile wyżej od Halicza, przykazawszy poprzednio do zamków poodsyłać wszystkie wozy poszostne, a nawet poczwórne. Nazajutrz nadciągnęli Tatarzy i rozwinawszy się w koszu za Dniestrem, ujrzeni naprzeciw siebie taboreczek mały. Hetman o dwie mile ztamtąd stał zastłony górami. Tatarzy, lekceważąc naszych, wysłali pod wieczór harcownika, który nawet nie nacięrał na taboreczek, a ten i ów wołał przez Dniestr: „nacieszycie się jutro, nacieszycie!“

Zląkł się hetman, żeby Tatarzy nie zabawiali go harcami, a plonu poza górami nie uwozili. Przygasił więc ogień i ustąpił na szerokie popławnickie pola, o dwie mile niżej od Martynowa nad Dniestrem, niedaleko od bednarowskiego lasu, którym Tatarowie uchodzili, po najspobniejszych szlakach i przeprawach. Zajmował takie stanowisko, że mu Kantemir nie mógł wysłiznąć się żadną miarą, a nadto hetman przysposabiał sobie zwycięztwo, bo wywabiał nieprzyjaciela pomiędzy Dniestr a trzy rzeczki głębokie i błotniste. Całą noc szedł, na rozświcie dopiero stanął na miejscu. Nadęty basza bardzo się frasował, że Polaków wypuścił, bo o małej liczbie wojska miarkował z wąskiego taboru. Idąc prędko, po drodze spotykał kolasy, które hetman umyślnie porzucał tu i owdzie, z beczkami i szmatami. Przekonywało go to coraz więcej, że nasi uciekli. Miał z 15,000 komuniką, z którym zapalczywie przypadł; z godzinę już było na dzień, ledwo co Polacy się rozwinięli. Zamiast przespania się i odpoczynku, rozsypano się ochotnie wojsko z taboru, które hetman prędko uszykował. Nacięrał Kantemir najprzód na prawe skrzydło; poskoczył tam kazał hetman z pułkiem Stanisławowi Rewerze Potockiemu, podkomorzemu podolskiemu. Porucznik Gruszeki dzielnie powiódł przodem chorągiew pana Łahodowskiego, ale poległ, a obok niego poległ także chorąży pana Aleks. Mikulińskiego. Inne chorągwie tak silnie napały nieprzyjaciela, że z pół godziny harcując, ku środkowi wojska naszego się zwrócił, ale znowu dobry wstręt odniósł i tylko harcami się zabawił.

Hetman tymczasem wstępował porządnie na szerokie pole, tak dalece, że o całą milę się cofnął, zniósł harcownika, a wojsko trzymał w kupie. Nastąpił basza z całą potęgą, ale trafił na panów Sieniawskich, oraz starostów trębowskiego i skalskiego, którzy rezolutnie stanęli, z boków zaś brat hetmański, wojewodzie sieradzki, Bogusz i Odrzywolski wzięli nieprzyjaciela szablami, bo kazał im Koniecpolski prochu na ostatnią już potrzebę używać. Wielką godzinę w srogiej potrzebie tak szablami harcowali. Hetman czujnie miał oko i główny zastęp posiłkami wspierał, a osobliwie pana Malickiego posłał z pułkiem w sam środek boju. Tymczasem opasywał taborami wojsko, aż kiedy rogę taborowe zrównały się z czołem wojska z Tatarami zmieszanego, wystawił z obu stron działa i śmigownice, które tak potężnie raziły pogaństwo, że i ci co dotąd walczyli bez

skutku, przyszedł do sprawy. Hetman zaniechał wtenczas swego fortelu taborowego, bo widział że poganin harcami tylko się zastawiał, i rozkazał odważnie poskoczyć w bój jednym i drugim skrzydłem kilku-nastu rotmistrzom, między którymi byli Jan Goślicki stolnik koronny, Stefan Chmielecki, Jan Odrzyński i Koniecpolski wojewódzic sieradzki. Potężnie te chorągwie uderzyły na Kantemira, wielką podolską miłę go pędziły i wparły wreszcie do Dniestru. Z wysokich brzegów pogaństwo rzuciło się w rzekę z końmi, nie jeden utonął, niejednego koń przywalił, że poszedł na dno. Kołpaczki tylko i odzież pływały po wodzie, a nasi strzelali do Tatarów jak do kaczek zrusznic z łuków. Sam Kantemir był w wodzie postrzelony, a koń pod nim zabity. Nie obejrzało się wtedy pogaństwo, aż o pół mili za Dniestrem, obok swego kosza. Polacy całą potęgą szli za Tatarami i strzelali bezustannie. Hetman nadbiegł i nie czekając taboru ani armaty, konnemu tylko wojsku następować kazał prędko i Dniestr przechodzić, przodem zaś wysłał Chmieleckiego z kilką chorągwi, do których się z ochoty przyłączył Tyszkiewicz, który na harcach i przedtem ciągle przez wszystkie czasy odważnie stawał. Sam hetman następował za Dniestr z wojskiem. Od południa o milę za Dniestrem natrafili na kosz. Niezliczona moc ludzi obojga płci była w jassyrze, na polach znajdowano dużo dzieci, niemowląt jeszcze odbieganych, które z płaczem krzyczały. Napotymano dalej gęste processy szlachcianek i różnego stanu ludzi od Krośna i Przemysła pędzonych. Na trzy mile widzieli takie tłumy, które płakały najprzód z żalu, a ujrawszy swoich oswobodzicieli, z radości padały krzyżem przed nimi, błogosławiły hetmana i wojsko. Patrzało rycerstwo z żalem, jak wszystkie szlak nieprzyjacielski był usłany sprzętami domowymi, nie tylko ubogich, ale i szlachekami; gęsto i święta odzież kapłańska wałała się na drodze, rzucał ją nieprzyjaciel i uciekał. Znajdowano ciała jeńców, których nieprzyjaciel ścinał po szlakach, gdy uprowadzić już nie miał czasu, najwięcej jednak kilkaset takich nieszczęśliwych naliczono. Wśród ludzi szły stada koni, bydła, owiec, które Tatarzy na gospodarstwo do Krymu pędzili.

Goniono Tatarów więcej niż dwie godziny w noc ciemną, przez wysokie góry i głębokie jary, przez przykre wertepy i lasy gęste bednarowskie, przez Czew i Łukiew, dwie kamieniste rzeki płynące z Węgier z górzystych stron, a woda w nich tak wielka była jak w Dniestrze.

Gościej było, gdy Tatarowie trafili na zasieczę w lasach, które hetman na kilka dni wprzód porobił rozkazem. W ciasnych ścieżkach następowało rycerstwo na nich z okrzykiem. Miotał poganin i swoje rzeczy, oponiżce, kulbaki z koni zrzucił i szedł w rozsypek, a tutaj jeszcze chłopstwo zlatywało się do lasów, straszło i zabijało. Nazajutrz równo ze dniem, o mil 8 dalej, pod Chocimierzem, padł ostatek tego pogaństwa, które w ciągu trzech godzin przebiegło tak wielką przestrzeń. Kantemir był trzy razy postrzelony, a raz w głowę, gdy ścieżką ciasną przebiegał się we 20 koni.

Konie były już 26 godzin bez odpoczynku i bez pokarmu, wypowiadały posłuszeństwo. Nastąpiła noc bardzo ciemna. Hetman, który cały dzień nie jadł i nie pił, upatrzył w lesie ostroweczek jeden na strzelanie z łuku szeroki. Udał się tam z Sieniawskim, ze starostą trębowelskim, ze Zborowskim i z innem towarzystwem. Trochę się posilił, ze dwie godziny przespał, i prędko potem zorze zobaczywszy, pojechał prosto z lasów do Halcza i Panu Bogu ponownie oddał dzięki w kościele u franciszkanów; wysłał zaraz kilkadziesiąt wozów dla pozbierania dzieci małych i pochowania trupów.

Świetne to było zwycięstwo, wyprawa krótka. Hetman wyszedł z Baru 28 maja, w dni kilkanaście później, 49 czerwca, spotkał się z nieprzyjacielem we środę, a w piątek już ani śladu nie było hordy. Dwa tygodnie starczyły do uniwersalów, marszów i gonitw. Dla zwycięstwa dość było dwóch, trzech dni. Miał hetman wojska swego coś więcej nad 3,000 ludzi, i to w części nieuzbrojonych. Pogaństwa było do 60,000. Trofea nie były wielkie, kilka znaków i chorągwi. Hetman nie kazał zabawiać się więźniami, a mógł dostać znacznych i wielu; wodzić jeńców za sobą, było to opóźniać natarcie, od którego wszystko zależało. (Dyaryusz prawdziwy i t. d., a z niego przedruk: Pogrom tatarski, wydane u Przyłęckiego, str. 250—258.)

Sam hetman z obozu na popławnickim polu doniósł królowi o tym zwycięstwie listem z d. 23 czerwca. Pobożny, jak wszyscy hetmanowie owych czasów, nie własnej zasłudze przypisywał wygraną w boju cudownym, ale wmięszaniu się niebios. Nie widział

wprawdzie hetman znaku tej łaski Bożej, jaki się objawił, ale widział go wielu z rycerstwa, lubo inszej byli wiary, mianowicie widział pan starosta łomacki. Gdy Tatarowie rano do nas biegli i pod Martynowem dwie wioski zapalili, powstał z tych dymów i płomieni w powietrzu krzyż wielki i czasu potrzeby świecił w tyle pogan, a wojsko polskie przebiegało się wprost ku niemu, nie wiedząc o niczym. Gdy wszyscy cud spostrzegli, nastąpiła porażka, bo nieprzyjaciel nie nacięrał już więcej i przez sześć mil uciekał tylko. Była i druga okoliczność, która jawnie wskazywała na zrzucenie Boże. Smoleńsk był odebrany w dzień św. Antoniego z Padwy, a zwycięstwo pod Martynowem trafiło się w oktawę tegoż święta. Pobożnym ludziom wydawało się to nie prostym wypadkiem. „Z tych dwóch konsyderacyj, pisze historyk wyprawy, jawnie widzieć każdy może, że za szczęściem i pobożnością J. K. Mości, z miłosierdzia swego Pan Bóg, któremu niech będzie wieczna chwała, raczył pobłogosławić narodowi naszemu nad tym nieprzyjacielem.“ (Przyłęcki str. 257.)

Nie tylko więc pobożność hetmańska, ale i królewska, wyzbrała u niebios zwycięstwo, a nawet królewska więcej. Uwierzył temu i historyk, krzyż w powietrzu widział wielu godnych z rycerstwa. Z taką wiarą w łaskę niebios rzeczywiście cudy były możebne.

Hetman posłał królowi registryk tych panów, którzy ze znacznymi pocztami do usługi królewskiej przybyli. Ale najsiłniej królowi zalecał pilność i odwagę Stefana Chmieleckiego.

Było niezmiernie sławne na całą rzplitę to zwycięstwo. Hetman odbywał wjazd do stolicy Rusi „piękniejszy może nad greckie tryumfy“, bo wiódł za sobą kilkadziesiąt wozów niemowląt, odbitych Tatarom, o których rodzicach trzeba było dopiero rozpytywać się między ludźmi. Wprowadził te dzieci przed bramę kościoła we Lwowie, w którym się lud i rycerstwo zebrało, dla podziękowania Bogu. Dzieci szły z processją do kościoła w sukienkach białych i w wieńcach na głowie. Znakomity kaznodzieja Fabian Birkowski, pełne obrazów i świętych uniesień powiedział, z powodu zwycięstwa, kazanie. Wszystko się przyczyniło do podniesienia blasku tej religijnej wymowy i uroczystości: i cud który się spełnił na polu, i te dzieci, które „uderzały Bogu czołem, jak mówił Birkowski—

To kazanie drukiem u Jana Rossowskiego w Warszawie ogłoszone, pod tytułem: „Kantemir basza porażony“, było nowym Koniecpolskiemu pomnikiem (1624, w 4ce, str. 14.) Wyszył też z druku opisy cudownego zwycięstwa, jeden w ćwiartce, na pięciu kartach, naśladowujący gazetę, pod tytułem: „Dyaryusz prawdziwy“, ale gdy wiele błędów drukarskich i grubych w nim się pokazało, drugi raz opis ten wydał natychmiast Jan Rossowski w Warszawie, pod tytułem: „Pogrom tatarski.“ (w 4ce, dwa arkusze.) W lot rozchwyłano te ulotne kartki.

Birkowski więcej jeszcze stawiał Koniecpolskiego. Przewidując w nim wielkiego hetmana za krzyż, poświęcił mu nowe swoje kazanie, które do druku podawał, siedząc w Warszawie w klasztorze u św. Jacka. Był to nowy hołd, oddany publicznie innemu walecznemu mężowi za wiarę. „Pamięć wielkiego kawalera Bartłomieja Nowodworskiego“, niedawno podczas pogrzebu ciała jego w Warszawie napisaną, niósł Birkowski Koniecpolskiemu do domu jego uwielbionego hetmańskiego. W krzyżu Konstancy Wielki odniósł zwycięstwa, Polacy herby swoje krzyżem znaczyli, chorągwie chrześcijańskie zawsze w polu rozwięwają się z krzyżem, bo tylko ludzie innej religii wołał malować na nich kule ogniste, strzały i inne herby swoje. Nowodworski „w pokoju szaty nie wziął na się żadnej, jeno tę, która krzyżem była naznaczona.“ Rycerz chrześcijański z różką oliwną, z krzyżem świętym, ma iść do potrzeby, bo tym zasłuzo sobie na niebo. Niedawny pogrom baszy Kantemira stał się przez znak krzyża św. i „dalibóg, mówi Birkowski, jeszcze większy będzie z dziękuję pogaństwa przez ręce twoje, gdy ustom zacnym koronnym ukrzyżowanego Chrystusa i chwała jego święta stanie przed oczyma.“ W tych słowach znakomitego kaznodziei pasował hetmana kościół na nowe boje, jako rycerza chrześcijańskiego. (Dedykacja z d. 49 lutego 1625 r.)

Król dla Koniecpolskiego był hojny. Nadał mu starostwo kowelskie na Wołyniu, po śmierci Pawła Kryskiego, i w przywileju napisać kazał, że to nagroda za dwa zwycięstwa otrzymane nad Tatarami (18 września 1624 r. metr. ks. 472 str. 18.) Na sejmie, który jeszcze w r. 1624 odbył się pod łaską Jana Łowickiego starosty brzeskiego, wyrobił mu konstytucją

na 30,000 złp. z retent poborowych i przypomniał rzpltej „odważne i znaczne posługi“ hetmana w wyprawach wołoskich, moskiewskich i świeżo tatarskich. (Vol. legum III str. 468.) Takie konstytucje, które świadczyły o publicznej wdzięczności narodu, bywały drogiemi pamiątkami w domu, uszlachetniały nazwisko. Na drugim sejmie w styczniu r. 1625, pod łaską Jana kniazia Druckiego Sokolińskiego, dziękowały stany rzpltej hetmanowi za dwa ostatnie zwycięstwa nad Tatarami i „mając wzgląd na zasługi domu jego“, przywróciły do czci Aleksandra Koniecpolskiego, który za kryminal napasici na klasztor zakonnic krakowskich, stracił przywileje stanu szlacheckiego. (Vol. legum III str. 490.)

Po sejmie, który rozpedziło powietrze srogie z Węgier naniesione, zima ciepła i dęszce codzienne, król Koniecpolskiego powołał do senatu i mianował od razu wojewodą sandomierskim, po śmierci Zbigniewa Ossolińskiego (7 marca 1625 r., metr. kor. 472, fol. 436.) Jeszcze i tutaj w przywileju wyliczał szeroko jego zasługi. W miesiąc później dał mu wieś Krutoborodnice w starostwie barskim na Podolu, po śmierci Sierakowskiego stolnika podolskiego (5 kwietnia 1625 r., metryka, 472, fol. 494.)

Hetman miał z urzędu stać na Ukrainie, dla obrony granic od Turków i Tatarów, bo chociaż zaszył traktaty z sultanem i Krymem, ludzie jednak swawolni, bez rozkazan panów swoich, tak z ich, jako i ze strony rzpltej rwać przymierze nie ustawiali. Przeto jeszcze na sejmie Łowickiego obmyślała rzplta obronę Ukrainy i powiększenie w tym celu wojska kwarcianego. Tajemną konstytucją przepisywało się postępowanie hetmanowi i skarbowi, który powinien był pieniądze dostarczyć. Hetman miał czuwać nad karnością wojenną, nie dopuszczać żołnierzom krzywd czynić i zbytków, które „majestat Boży i prawo pospolite urażają“, żadnych stacyj nie wyciągać w dobrach królewskich, duchownych i szlacheckich. Gdyby który porucznik albo rotmistrz ważył się w nich stanąć, właściciel szlachcic może go pozwać na trybunał, a przed hetmana dzierżawca królewski lub duchowny. Szlachcicowi pozwany 1,000 złp. kary zapłaci i wynagrodzi krzywdy podług dawnych konstytucyj, a pozwany przed hetmana, jeżeli osiadły, zapłaci 2,000 i wynagrodzi krzywdy; jeżeli nieosiadły, da głowę. Na lezach i w ciągnięciu miał żołąd wystarzać żołnierzowi. Hetman rozsyłając rotę, miał zawsze dawać listy do dzierżawców królewskich w starostwach ukraińskich. W ciągnięciu rota na rotę następować nie była powinna.

Hetman miał prawo darować wojsku ćwierć zasług, ale w nagrodę nie za potoczne porażki, tylko za jakie ważne zwycięstwo nad wojskami sultana lub Gajgi. Księstwo ostrogskie dodawało mu 600 ludzi ze swojej ordynacyi. Król się spodziwał, że i starostwie dzierżaw ukraińskich, począwszy od Baru aż do granic w ks. moskiewskiego, którzy wiele zawiniли, że nie mieszkali w tamtych krajach, przynajmniej drugie 600 ludzi obmyśla, porozumiewawszy się ze skarbem. Wszakże to ich niepilność kozackiej przymnożyła niewoli, przeciw której ludzie z krain tamtych kupić się swobodnie nie mogli, bo nie mieli przy kim. Do téjże obrony ukraińskiej należeć mieli i wybrańcy. Podatki rzplta wyznaczyła dostateczne i dlatego miała prawo wymagać karności wojska. (Vol. legum t. III str. 460—462.)

Dla téjże przyczyny, że potrzeba było pilnować ziem ukraińskich osobicie, hetman znowu dostał surrogatora do starostwa wieluńskiego na sejmie w r. 1624. Był nim krewny hetmański i współwychowaniec, Zygmunt Koniecpolski, starosta szczyrcecki. (Vol. legum t. III str. 468.)

W sam czas nastąpiło to rozporządzenie. Hetman udał się na Ukrainę, bo nadchodziły ważne z kozacką zdarzenia.... (*). Julian Bartoszewicz.

(* Na tém autor artykułu uznał za stosowne urwać ten fragment historyczny.—Jakkolwiek czynny słynnego hetmana powszechnie są znane, dla mniej świadomych przeciw dopowiemy w kilku słowach późniejsze koleje jego życia. Z Ukrainy wezwany został do Prus przeciw Szwedom, gdzie przez lat cztery opierał się najznakomitszemu wówczas wojownikowi, Gustawowi Adolfowi, mianowicie zaś r. 1627 pod Hamersztynem w Pomeranii walne odniósł zwycięstwo. Po zawarciu w r. 1629 sześciolatniego rozejmu ze Szwedem, powrócił Koniecpolski w strony ukraińskie, dla strzeżenia granic rzpltej od Tatarów i Turków. 5 kwietnia 1632 r. mianowany hetmanem wielkim koronnym, a w rok później kasztelanem krakowskim, kilkakrotnie jeszcze gromił Tatarów i Kozaków, dla których poskromienia twierdził Kudak wystawił. Ostatnie świetne zwycięstwo odniósł Koniecpolski r. 1644 pod Ochmatowem nad 40,000 Tatarów. Umarł w Brodach 11 marca 1646 r., mając lat 56. (Przyp. red.)